

**AIDS**



**s.GRAŻYNA MUCHA**



# **AIDS**

**Historie prawdziwe**

*Prószyński i S-ka*

Copyright © s. Grażyna Mucha, 2007

Redakcja i korekta  
Eliza Czerwińska

Projekt okładki  
Paweł Rosolek

Redakcja techniczna  
Jolanta Trzcinińska-Wykrota

Łamanie  
Ewa Wójcik

ISBN 978-83-7469-622-7

Wydawca  
Prószyński i S-ka SA  
ul. Garażowa 7, 02-651 Warszawa  
[www.proszynski.pl](http://www.proszynski.pl)

Druk i oprawa  
Drukarnia Wydawnicza im. W. L. Anczyca S.A.  
30-011 Kraków, ul. Wrocławska 53

## WSTĘP

---

Minęło ponad 25 lat od wykrycia pierwszego zakażenia HIV w Polsce. Zapewne pamiętacie Państwo, jak wielkie dramaty przeżywały w tym czasie osoby zakażone HIV i chore na AIDS, które ujawniły fakt swojego zakażenia. Najtrudniej było na początku, kiedy wiedza o tej chorobie była niewielka. Słowa takie jak HIV czy AIDS wywoływały panikę. Ludzie bali się zakażenia do tego stopnia, że odmawiali chorym przysługujących im podstawowych praw. Strach niejednokrotnie był źródłem zachowań irracjonalnych i niegodnych. Byłem wówczas z chorymi, pomagałem im, razem z nimi przeżywałem te bolesne doświadczenia. Dziś nie chcę już wracać pamięcią do tamtych lat. Nie dlatego, że chciałbym wymazać je z pamięci, ale przede wszystkim dlatego, że przez 25 lat postawa społeczeństwa i stosunek ludzi zdrowych do zakażonych HIV i chorych na AIDS uległy wielkiej pozytywnej przemianie. AIDS nie wzbudza już sensacji, osoby zakażone HIV mogą liczyć na zrozumienie i współczucie, mają pełny i bezpłatny dostęp do najnowocześniejszych leków. Z myślą o nich został zorganizowany sprawnie działający system opieki zdrowotnej. Jednym z jego elementów jest kierowany przeze mnie Ośrodek Readaptacyjno-Rehabilitacyjny w Konstancinie-Jeziornie. Pracuje w nim wiele wspianiałych osób, które chorym

na AIDS pomagają od wielu lat. Jest wśród nich autorka niniejszej publikacji, siostra zakonna Grażyna Mucha – pomaga chorym na AIDS przebywającym na oddziale hospicyjnym. Wobec każdego chorego jest naturalnie życzliwa, pozbawiona jakichkolwiek uprzedzeń, zawsze chętna do pomocy, często wykraczającej poza obowiązki. Taka postawa powoduje, że chorzy obdarzają ją szczególnym zaufaniem: zadają pytania, proszą o rozmowę, opowiadają o swoich losach. Ona potrafi słuchać. Nigdy nie brakuje jej czasu, aby cierpliwie wysłuchać dramatycznych historii życia tych, którzy stoją już na granicy śmierci. W czasie jednej z rozmów zainspirowałem Siostrę, by spisała niektóre wyznania chorych oraz uzyskała ich zgodę na upublicznienie przynajmniej części tych opowieści. Tak się stało, i oto powstała książka „AIDS. Historie prawdziwe”. Zawiera dziesięć opowiadań o ludziach, którzy przebywali w naszym hospicjum. Choć połączyło ich wspólne dramatyczne doświadczenie, historie ich życia i sposób przeżywania choroby są bardzo różne. Ta książka wiernie odzwierciedla bogactwo ludzkich doznań, przeżyć, emocji i uczuć. Niestety, niektórzy z jej bohaterów odeszli już na zawsze. Tym, którzy żyją, ta książka jest dedykowana.

Zachęcam Państwa do jej przeczytania w skupieniu. Zapewne po lekturze pojawią się refleksje – mam nadzieję, że będą to przemyślenia, które pozwolą Państwu spojrzeć z jeszcze większym niż do tej pory zrozumieniem i troską na świat ludzi żyjących z HIV i chorych na AIDS.

O. ARKADIUSZ NOWAK  
Prowincjał Zakonu Posługujących Chorym  
/Ojcowie Kamilianie/

# I

## **SERGIUSZ**

---

### *Wszystko mogło być inaczej*

Sergiusz pojawił się wraz z wiosną. Za szybko zieleńło się nasze patio, słychać było śpiew ptaków, rozkwitały krokusy.

Był lekko zakręcony, jakby zdziwiony miejscem, w którym się znalazł. Starał się szybko zaaklimatyzować.

Wyglądał na zdrowego faceta, lecz to były tylko pozory. Wewnętrznie był bardzo poraniony, skomplikowany dla samego siebie. Starał się maskować swoje wewnętrzne problemy, grał twardziela, który świetnie sobie radzi. Zewnętrznie był poukładany i zorganizowany, zawsze czysty, lubiący porządek i zadbane. Nie lubił, gdy zwracano mu uwagę, nie potrafił przyznawać się do błędów. Chciał być lepszy od innych. Swoich problemów związanych z relacją z innymi pacjentami nie potrafił rozwiązywać inaczej jak tylko agresją. Chciał być w grupie przywódcą, chciał dominować nad innymi.

Pod postawą dominatora krył się jednak mały chłopak, który nie poradził sobie z dorosłym życiem. Nigdy nie brał narkotyków, jego problemem był alkohol.

Przyjechał do nas po długim pobycie w szpitalu. Właśnie tam dowiedział się, że jest zakażony HIV. Właściwie to nie był zaskoczony tą informacją, przypuszczał, że tak mogło być.

Dwa lata temu zaczęło do niego docierać, że może być zakażony. Właśnie wtedy poszedł oddać krew do punktu krwiodawstwa, zresztą robił to już wiele razy. Jednak tym razem otrzymał w krótkim czasie informację, aby zgłosił się do punktu, w którym oddawał krew. Zignorował to. Pewnie bał się, że jego nieodpowiedzialne dotychczasowe życie mogło spowodować, że zakaził się HIV. Był przez krótki czas z dziewczyną, która, jak później się okazało, była zakażona HIV.

Przez ostatnie dwa lata mieszkał w noclegowni.

Sergiusz jest żonaty, ma dziecko, lecz dawno już nie mieszka z rodziną. Utrzymuje jednak z żoną i dzieckiem kontakt telefoniczny.

Od dłuższego czasu rozmawiamy o tym, że powinien spotkać się z żoną i powiedzieć jej o zakażeniu. Bardzo się boi tego spotkania i robi wszystko, by odłożyć je gdzieś daleko w przyszłość. Nie wie, jak przeprowadzić tę rozmowę, boi się reakcji żony. Jola zawsze była wolna od jakichkolwiek nałogów.

Trudno jej było walczyć z jego uzależnieniem od alkoholu i ciągłym brakiem pracy. Często się kłócili. Teraz trzeba się spotkać i przeprowadzić poważną rozmowę.

Było mu ciężko, długo odwlekał ten wyjazd. Brakowało mu odwagi. Przygotowywaliśmy się do tego spotkania w wielu rozmowach. Widziałam, jaką toczy w sobie walkę. Wreszcie pojechał. Porozmawiali. Nie było łatwo. Żona zadawała wiele pytań, na które nie zawsze chciał odpowiadać. Wiele spraw trzeba było wyjaśnić. Wrócił zmartwiony,

przybity, milczący... Żona zerwała z nim kontakt. Przestał także dzwonić jego 10-letni syn.

– Pewnie Jola zabroniła mu kontaktu ze mną – prawie płakał, kiedy to mówił.

Poczuł się samotny, odrzucony i przygnieciony ciężarem przeszłości.

– Daj jej trochę czasu – tłumaczyłam.

Był jednak pełen emocji, zaniepokojony tym, co będzie dalej między nimi.

– Czy ona zdoła mi wybaczyć? Czy pokona lęk przed moim HIV-em? Co powiedziała synowi? – pytał mnie i siebie nieustannie.

– Przyszłość udzieli odpowiedzi na te pytania – odpowiadałam.

Nie powiedział jednak Joli wszystkiego, co się wydarzyło w jego życiu od czasu jego wyjazdu z domu do Wrocławia.

Początkowo jakoś się układało. Pracował na budowie, mieszkał u swojego brata i wysyłał do domu pieniądze. Starał się z żoną i synem utrzymywać kontakt. Pisał listy i często dzwonił do domu. Przez kilka miesięcy było dobrze, ale potem, jak to na budowie, piwko za piwkiem, butelka za butelką... I znów zaczęło się picie na ostro. Dwa, trzy miesiące alkoholowego ciągu, potem jakaś przerwa i znów to samo... Brat tego nie wytrzymał, wyrzucił go z mieszkania. Nie potrafił mu pomóc.

Dopóki pracował i miał pieniądze, dopóty wynajmował pokój u znajomego, z którym razem pracował na budowie. Potem było jednak coraz gorzej. Pił coraz więcej, więc wyleciał z pracy.

Nie miał pieniędzy, więc wylądował na ulicy. Wtedy pił jeszcze więcej.

Kiedy przeszła zima, poszukał miejsca w noclegowni i tu musiał sporządzić. Jeśli chciał tam mieszkać, musiał przestać pić i zacząć szukać jakiegoś zajęcia. Było bardzo, bardzo trudno, ale odstawił alkohol i poszukał pracy.

Znalazł pracę w agencji towarzyskiej, w centrum miasta. Początkowo roznosił po mieście ulotki reklamujące agencję, potem został w niej ochroniarzem. Wciąż mieszkał w noclegowni. Nie pił. Potem otrzymywał w pracy kolejne awanse, aż w końcu został zastępcą szefa. Wiodło mu się dobrze. Do kieszeni wpadały duże pieniądze. Przeniósł się z noclegowni do agencji. Miał tu swój pokój, pozycję, był kimś. To mu odpowiadało. Kupował markowe ciuchy i wysyłał sporo pieniędzy żonie. Nie mówił nikomu, gdzie pracuje.

W agencji głównie pracowały Rosjanki. Klientami agencji byli także panowie należący do lokalnego świata polityki i mediów. Często stawał za barem i robił drinki klientom. Czasem żał mu było dziewczyn. Mogły wychodzić na miasto tylko w towarzystwie. Dokładnie pilnowano ich wyjść i powrotów. Kasował im znaczną część dochodów. Od czasu do czasu mogły dorobić coś na lewo, jeśli zgadzały się na jakieś dodatkowe życzenia klientów i nie przyznawały się do tego. Zdarzały się także wyjazdy do klientów. Były wtedy zawożone pod podany adres i przywożone z powrotem.

W razie jakichkolwiek kłopotów wzywał panów o ogolonych głowach, ubranych w czarne skóry, którzy co miesiąc zabierali swoją należność. Nie warto było z nimi zadzierać. Czasem dziewczyny wracały od klientów posiniaczone. Jeśli próbowały w jakiś sposób w pracy kantować, źle się to dla nich kończyło. Nie dbano o ich zdrowie. Badania na zakaźne choroby, w tym HIV – to farsa! Załatwiano jakieś lewe zaświadczenia, że są zdrowe.

Z reguły nie korzystał z życzliwych propozycji zatrudnionych dziewcząt, ale czasem po balandze w agencyjnym barze zdarzało mu się obudzić w łóżku z kilkoma panienkami. Zarabiał dużo, ale też nie liczył się z pieniędzmi, choć odkładał także na czarną godzinę. Pracował dwa lata. Potem wszedł w konflikt z szefem i musiał się zmyć i przez jakiś czas ukrywać.

Znów był bez pracy. Przepuścił wszystkie zaoszczędzone pieniądze. Trzeba było szukać miejsca w noclegowni.

Właśnie o tym okresie swojego życia nie opowiedział żonie. Nikt z rodziny też o tym nie wie. Jest mu bardzo trudno przyznać się to tego, jak żył w tym czasie.

– Gdyby nie alkohol, wszystko byłoby inaczej. Mam przecież ukończone technikum, zdaną maturę i dobry zawód. Chciałem nawet zdawać na studia.

– A kiedy zacząłeś pić?

– Już jako nastolatek. Uciekałem z domu do kolegów i z nimi zacząłem pić. Nie mogłem znieść w domu nieustannych kłótni rodziców. Miałem żal do ojca, że od nas odszedł. Właściwie to nie miał wyboru, bo matka wciąż terroryzowała jego i nas. Był za słaby, aby się jej postawić. Moi starsi bracia też pili. Matka nie, nie piła, ale nie była dla nas dobra. Pamiętam, jak przywiązywała nas do klamki u drzwi i biła za byle co. Nie mam dobrych wspomnień z domu. Było w nim mało miłości. Źle się w nim czułem, więc wolałem spędzać czas z kolegami. Czułem się gorszy od innych i niekochany.

W domu nie miałem z kim porozmawiać, matka miała dla nas mało czasu. Szybko się ożeniłem.

Moje dzisiejsze wizyty w domu u matki zawsze kończą się jakąś kłótnią, ale to jest moja matka, więc ciągnie mnie do niej.

Alkohol pomagał mi zapomnieć, poczuć się lepiej... a potem zawładnął moim życiem. Lubiłem mieć dużo pieniędzy i stawiać kolejki innym. Czułem się wtedy kimś.

– I co dalej z twoim życiem? – pytam na kolejnym spotkaniu.

– Chcę to zmienić, ale nie wiem jak. Czuję się bezradny – odpowiedział.

Zaproponowałam pójście na terapię alkoholową do pobliskiej przychodni. Zgodził się. Byłam nawet trochę zaskoczona, że tak chętnie przyjął moją propozycję. Zapytaliśmy naszego lekarza, czy jego stan zdrowia pozwala na rozpoczęcie terapii. Lekarz wyraził zgodę. Chcieliśmy wykorzystać czas. Czuł się w miarę dobrze i widziałam, jak bardzo chce zmienić swoje życie.

Przestał już myśleć, że skoro jest zakażony, to nie ma dla niego żadnej przyszłości. Ten problem mieliśmy już przepracowany. Wiedział, że to nie HIV, ale alkohol jest dla niego główną przeszkodą w rozpoczęciu nowego życia.

Z ogromnym entuzjazmem rozpoczął terapię. Chodził trzy razy w tygodniu na 6-godzinne zajęcia. Jego systematyczność i solidność w wykonywaniu obowiązków bardzo mu pomagały w terapii.

Dużo rozmawialiśmy o tym, co się z nim dzieje. Nie było mu łatwo. Czasem nerwy mu puszczają i powraca do swoich agresywnych zachowań. Ma problemy z funkcjonowaniem w grupie. Chce, aby wszyscy wkoło byli idealni, a przecież tu są chorzy ludzie. Nie potrafi przyjmować krytycznych uwag o sobie. Stopniowo jednak terapia powoduje w nim pozytywne zmiany.

– Może zadzwoniłbyś do Joli i powiedział o terapii – zaproponowałam.

– Też o tym myślałem – odpowiedział.

Po tygodniu zadzwonił do Joli. Rozmawiała z nim. Powiedział o tym, co robi, jak się czuje. Nic mu nie obiecywała, ale następnego dnia zadzwonił syn. To spowodowało, że jeszcze bardziej zaczął nad sobą pracować. Uwierzył, że może się udać.

Wkrótce stan jego zdrowia tak się poprawił, że mógł już nas opuścić i zacząć pracować. Po kilku miesiącach walki o życie i zdrowie na naszym oddziale trudno mu się było z nami rozstać.

Nie miał dokąd wracać. Żona nie była jeszcze gotowa, aby z nim zamieszkać.

Do matki nie chciał wracać, bo przecież tam piją bracia. Chciał kontynuować terapię.

Chcieliśmy mu jakoś pomóc, bo trudno było zaprzepaścić to, co już osiągnął. Został przyjęty do naszego hostelu. Znalazł pracę i kontynuuje terapię, bo wie, że alkoholem pozostaje się na zawsze.

Wciąż ma wiele problemów ze sobą, ale idzie do przodu. Chce wykorzystać czas, który mu jeszcze pozostał.

Stopniowo odzyskuje zaufanie swojej żony. Spotkał się już z nią i synem. Nie rozmawiali jeszcze o wspólnej przyszłości. Nie chce niczego przyśpieszać. Wie, że jeszcze przed nim sporo pracy, ale nadzieja pomaga mu trwać i z odwagą patrzeć w przyszłość.

Sergiusz pojawił się u nas wiosną i opuścił nasz oddział, kiedy pojawiły się pierwsze zwiastuny kolejnej wiosny.



## II

# ZDZISŁAW

---

### *Dostałem kolejną szansę*

Zbliża się kolejne Boże Narodzenie. Przygotowujemy się do świąt. Myślimy o choince i Wigilii. Za oknami pada puszysty, biały śnieg.

Puste miejsce w sali nr 3 zajmuje nowy pacjent. Ma na imię Zdzisław.

Jest niski, niepozorny, spokojny, skromny. Jeszcze kilka dni temu w szpitalu właściwie nie chodził. Teraz, choć niepewnie, porusza się po sali bez żadnej pomocy. Już w pierwszych chwilach pobytu u nas jest bardzo otwarty i miły. Staramy się okazać mu jak najwięcej życzliwości, aby poczuł się u nas dobrze.

Mijają kolejne dni adaptacji Zdzisława w naszym hospicjum. W jego zachowaniu widoczna jest duża kultura. Kiedy wchodzi do sali, zawsze wstaje na powitanie, ścisza telewizor lub muzykę i zaprasza, abym usiadła w fotelu. Nigdy nie usiadzie pierwszy, czeka, aż ja to zrobię. Zresztą nie chodzi tylko o mnie. Tak postępuje wobec całego personelu.

Jest przez wszystkich akceptowany i lubiany, bo jest życzliwy dla wszystkich i niekonfliktowy. Nie potrafi nikomu niczego odmówić, woli innym ustąpić, zrezygnować z własnego zdania, aby nie było nieporozumień. Nie chce nikomu wchodzić w drogę. Nie jest też roszczeniowy, zadowala się tym, co ma.

Jest wdzięczny za wszystko, co tutaj otrzymuje. Miły, spokojny, lubi rozmawiać na różne tematy, aż się nie chce wierzyć, że ma za sobą 17 lat brania narkotyków i ukończoną tylko szkołę podstawową.

– Nie, to nie narkotyki spowodowały, że dalej się nie uczyłem. Nie lubiłem się uczyć. Wolałem sport. Moje warunki fizyczne dawały mi możliwość uprawiania dyscypliny zwanej podnoszeniem ciężarów. Dużo ćwiczyłem, ostro trenowałem, więc były też dobre wyniki. Miałem wiele sukcesów, uczestniczyłem w wielu turniejach i odnosiłem wiele zwycięstw.

Kiedy mówi o tym okresie swojego życia, jest bardzo ożywiony. Z dużą przyjemnością opowiada o treningach, turniejach, porażkach i zwycięstwach.

To był dobry okres w jego życiu. Potem zaczął się alkohol.

Właściwie nie miał powodu, aby pić. Był najmłodszy w domu. Miał trzech starszych braci. Rodzice bardzo go kochali i poświęcali mu wiele czasu.

– Rodzice mnie rozpieszczali, pozwalali mi na wiele, miałem wiele swobody – wspomina zamyślony. – Może właśnie pozwalali mi na zbyt wiele.

Byłem dla rodziców oczkiem w głowie. Miałem z nimi i braćmi bardzo dobre relacje. W szkole czułem się dobrze, miałem wielu kolegów.

Zacząłem pić dla towarzystwa. Nie chciałem odstawać od kolegów, którzy pili alkohol. Nie chciałem ich stracić, więc musiałem się do nich dostosować. Piłem coraz więcej. Straciłem przez to pracę i oczywiście zaniedbywałem treningi. Kiedy zorientowałem się, że moi koledzy biorą narkotyki, nie chciałem być od nich gorszy. Poprosiłem o ten pierwszy raz i tak się to zaczęło.

Nie byłem już wtedy jakimś smarkaczem, miałem 20 lat.

Siedemnaście lat narkotycznego życia – wszystko kręciło się wokół zdobywania kolejnej dawki kompotu. Wszystkie pieniądze to inwestycja w narkotyk. Czasem trzeba było pojechać po działkę nawet 150 km.

To były często całe dni spędzane w pociągu w pogoni za kompotem. Czasem była to samotna wyprawa, czasem wspólna podróż w grupie na bilet, czyli łapówkę dla konduktora. Z czasem stawało się to bardzo męczące, ale inaczej nie można było, jeśli się chciało jakoś funkcjonować. Trudno było przestać brać. Było wiele chęci, ale brakowało siły.

– Rodzice walczyli z moim piciem alkoholu, ale bardzo długo nie wiedzieli, że biorę narkotyki. Moi starsi bracia także mi pomagali, abym wyszedł z nałogu. Dopóki pracowałem, dopóty miałem pieniądze. Potem sprzedawałem swoje rzeczy, wyłudzałem pieniądze od rodziców lub pożyczalem od znajomych.

Czasem kradłem jakieś drobne rzeczy w sklepach i potem je sprzedawałem. Wychodziłem z domu rano, a wracałem wieczorem. Mieszkałem razem z rodzicami. Nie chciałem się wprowadzić, zresztą rodzice mnie nie wyrzucali.

Po śmierci rodziców zostałem w naszym mieszkaniu. Do dzisiaj je mam.

Były trzy próby leczenia w ośrodkach, ale kończyły się powrotem do dawnego życia. Jeden z pobytów w ośrodku zakończył się pomyślnie, ale powrót po ukończonej terapii do domu zakończył się niepowodzeniem. Nawet udar mózgu, a potem niespodziewany powrót do zdrowia nie stały się powodem, by już nie brać. Nie było to jeszcze ostateczne ostrzeżenie, doświadczenie i zachęta do zerwania z narkotykami. Wciąż staczał się po równi pochyłej. Coraz większe dawki, coraz większe wyniszczenie i kolejna ciężka choroba... Może teraz to już koniec?

Może ten wylew, z którego znów cudownie udało się wyjść, pomoże mu się zreflektować i rozpocząć nowe życie. Życie wolne od narkotyków.

– Tak wiele straciłem. – W jego głosie słychać żal. – Mogłem być dzisiaj zupełnie innym człowiekiem. Pewnie miałbym teraz rodzinę, pracę i byłbym zdrowy. Straciłem bardzo, bardzo wiele... właściwie przegrałem swoje życie.

W 2001 r. znalazł się kolejny raz w szpitalu. Zrobiono test na HIV. Okazało się, że jest zakażony. Przyjął spokojnie tę informację. Przypuszczał, że to mogło się wydarzyć. Pewnie stało się to już w 1997 r. Słyszał wtedy, że krąży po mieście trafiony towar. Słyszał o HIV, wiedział, jak się można zakazić, ale nie brał tego pod uwagę. Głód zwyciężał z rozsądkiem.

Było mu jednak ciężko, kiedy okazało się, że jest zakażony. Przede wszystkim bardzo bał się reakcji rodziny. Nie

chciał tego przed rodziną ukrywać. Sądził, że „oni brali to także pod uwagę”, widzieli przecież, jak żył przez ostatnie lata.

Obawiał się jednak odrzucenia, a bardzo zależało mu na dobrych relacjach z rodzicami i braćmi. Byli dla niego wszystkim. Wiedział, że wyrządził im wiele zła, ale oni zawsze byli dla niego wsparciem. Nie zawiedli także wtedy, kiedy powiedział im o zakażeniu. HIV ich nie poróżnił. Nie odrzucili go, nie powiedzieli mu nic przykrego. Wciąż mógł na nich liczyć, choć wiedział, że nie akceptowali tego, jak żył.

– Chciałbym się z braćmi zobaczyć, bo kontakt telefoniczny to za mało. Chciałbym przeprosić za wszystko i podziękować za to, że wciąż mnie kochają, że jeszcze wierzą we mnie. Gdyby nie oni, to by mnie tu nie było. Kiedy spotkam się z bratem, chcę go zapytać o to, dlaczego mnie nie odrzucili i dlaczego, gdy byłem w trudnych sytuacjach, zawsze mi pomagał. Teraz widzę, że można żyć bez narkotyków. Brałem, bo mnie to rajcowało, ale straciłem bardzo dużo. Mama rozchorowała się przeze mnie, straciłem pracę, mogłem żyć jak człowiek... Nie myślę, że mam HIV, żyję i staram się nie załamywać. Popełniłem tak wiele błędów... dziś to wiem. Gdyby nie narkotyki, to pewnie nie byłbym zakażony HIV.

Zdzisław przemyślał wiele spraw w czasie pobytu u nas. Dużo rozmawialiśmy o tym, co dalej. Tym razem nie wróci już do swojego mieszkania, bo znów będzie, jak było. Teraz jest decyzja: *NIE dla narkotyków*. Wspólnie próbujemy znaleźć jakieś rozwiązanie, aby wykorzystać kolejną szansę, by poczuł się silniejszy i wolny.

– Byłem w 3 ośrodkach na leczeniu. Kończyłem leczenie, ale zawsze wracałem do swojego mieszkania i wracałem też do narkotyków. – Opowiada ze smutkiem. – Wracałem do siebie i nie wiedziałem, co ze sobą zrobić. Byłem sam, dopadała mnie nuda, przychodzili starzy znajomi... no i znów się zaczynało. Teraz wiem, że nie mogę wracać do swojego mieszkania, muszę teraz zacząć żyć inaczej. Nie wiem, ile jeszcze pożyję, ale chcę zmienić to swoje życie.

Dostałem kolejną szansę od życia, od Boga, i to może być już ostatnia szansa.

Codziennie dziękuję Bogu, że przeżyłem kolejny dzień i kolejną noc. Staram się coś z siebie dawać Bogu i ludziom, którzy są tutaj ze mną. Kiedy byłem sparaliżowany, to nie dawano mi szans na chodzenie. Stało się inaczej. Myślę, że to Bóg sprawił, że wstałem i zacząłem chodzić.

Za oknem widać pierwsze zwiastuny wiosny. Jest ciepły dzień, ale nam jest trochę smutno. Żegnamy dziś Zdzisława. Widzimy, jak jest mu trudno odejść od nas, jak mu trudno jest się z nami rozstać.

– Było mi tu bardzo dobrze. – W jego oczach pojawiają się łzy. – Czułem się tutaj jak w prawdziwym domu. Doznałem od wszystkich, którzy się mną opiekowali, tak wiele ciepła i dobroci. Tak trudno jest mi stąd odchodzić. Nie chcę tracić kontaktu z tym miejscem, z ludźmi, którzy otoczyli mnie tak wielką życzliwością.

Zdzisław spędził u nas całą zimę. Był to dobry dla niego czas. Pod opieką lekarzy i pielęgniarek znacznie poprawił się jego stan zdrowia. Nie wymagał już dalszego pobytu na

oddziale. Nie odzyskał jeszcze pełnej sprawności w chodzeniu, ale to wymaga czasu.

Podjął ważne dla siebie decyzje. Nie wraca do swojego mieszkania, bo nie chce popełnić kolejnego błędu.

Postanowił zamieszkać w Domu Ciepła położonym niedaleko nas.

Wśród ludzi, którzy nie oglądają się w przeszłość, lecz patrzą z nadzieją w przyszłość, znalazł swój dom. Znalazł zrozumienie i akceptację wśród tych, którzy podobnie jak on muszą zmagać się ze skutkami swoich często niedojrzałych życiowych wyborów.

Nie chcemy, by odjeżdżał od nas samotnie. Postanawiamy z siostrą oddziałową, że odwieziemy go do miejsca, które wybrał na swoje dalsze życie.

Ostatnie rozmowy, ostatnia kawa i papieros w towarzystwie tych, którzy tu zostają, pożegnalne zdjęcia, uściski, kilka łez... i wsiadamy do samochodu.

– Będziemy z tobą w kontakcie. Będziemy do ciebie dzwonić – obiecujemy.

Jeszcze przez jakiś czas brakuje nam obecności Zdzisława. Pamiętamy jego życzliwość, wdzięczność i niesamowitą skromność.

Odeszła kolejna osoba zapisująca następną kartę historii naszego hospicjum.

To jednak było dobre odejście. Zarzucona przeszłość. Odzyskana wolność. Dojrzała decyzja. Wykorzystana szansa. Radość, że można było pomóc.

Takie rozstania, chociaż trochę bolą, to jednak cieszą.



### III

## KONRAD

---

### *Czy Bóg kocha mnie na pewno?*

Konrad przyjechał do nas w mroźny zimowy dzień, w pierwszych dniach lutego. Przywieziono go ze szpitala na dalsze leczenie.

– To był kawał mężczyzny, nie mieścił się na noszach – wspomina pielęgniarka, która wtedy miała dyżur. Był bezwładny, z licznymi odleżynami, zaniedbany i bardzo wyniszczony – takie dziecko z buszu. Zero kontaktu, na nic nie reagował.

Przez kilkanaście dni Konrad leżał bez ruchu w dwuosobowej sali. Nie dawał żadnych oznak życia. Nawet gdy był o coś pytany, nie odpowiadał, nie dawał żadnych znaków głową czy oczami. Nie można było do niego dotrzeć w żaden sposób. Był jakby nieobecny. Sprawiał wrażenie, że nie wie, co się z nim dzieje. Trzeba było czekać i robić wszystko, aby przywrócić go do rzeczywistości. Nie wiedzieliśmy o nim prawie nic. Nie było żadnego kontaktu z rodziną. Nikt się nim nie interesował.

Pielęgniarki leczyły jego odleżyny, podawały zalecane lekarstwa, troszczyły się o niego. Konrad miał dietę, potra-

wy były miksowane, ponieważ występowały u niego oznaki zaniku połykania i krztusił się przy jedzeniu.

Swoją opieką otoczyła Konrada także nasza rehabilitantka.

Stopniowo następowała poprawa. Można się już było z nim kontaktować za pomocą ruchów głowy. Powoli wracała także sprawność rąk, a potem nóg. To trwało prawie dwa miesiące. Potem było już coraz lepiej. Cieszyło nas, kiedy Konrad zaczął siadać na łóżku, potem stawać przy pomocy rehabilitantki... i wreszcie zaczął stawiać pierwsze samodzielne kroki i normalnie jeść.

Wracał do zdrowia, ale wciąż był bardzo zamknięty, mało komunikatywny. Mówił tylko to, co było konieczne, ale zaczął się do nas uśmiechać. W jego uśmiechu zawsze było coś z niewinności dziecka, coś, co nas rozbijało.

Nie był skłonny do rozmów z innymi pacjentami.

Gdy wchodziłam do sali, codziennym widokiem był Konrad leżący na łóżku i przeglądający kolorowe czasopisma. Początkowo tylko je przeglądał, potem zaczął je czytać.

Wiosna jest już w pełni. Zazieleniło się i rozkwitło wokoło majem. Siedzę z Konradem na kanapie w aneksie. Patrzę na niego, na jego rozbijający uśmiech i pytam:

– Konrad, czy ty pamiętasz swoje nocne wyprawy po hospicjum?

– O czym pani mówi? – pyta zaskoczony.

Z jego twarzy znika uśmiech, pojawia się niepokój. Jego oczy wpatrują się we mnie, jakby próbował odgadnąć, o czym mówię. Jest wyraźnie zaniepokojony. Skulił się w sobie jak dziecko, które przeczuwa, że zrobiło coś złego.

Opowiadam mu o jego nocnych wypadach do kuchni i do sali pacjentów.

To nie były spacerzy przy księżycu. Kiedy Konrad zaczął już chodzić, zakradał się do wszelkich możliwych miejsc i szuflad w poszukiwaniu jedzenia. Wyjadał wszystkim, co tylko się dało. Robił to cicho, bezszelestnie jak kot. W dzień raczej zachowywał się normalnie, jadł tylko to, co mu podano. Nikomu nic nie zabierał, nikogo o nic nie prosił, ale nocą wyruszał na „łowy”.

Oczywiście szybko został przyłapany przez pacjentów. W dzień jakby nie pamiętał o tym, co działo się w nocy. Nie rozumiał, dlaczego inni mają do niego pretensje i mówią, że kradnie. To trwało jakiś czas. Walczyliśmy z tym jego buszowaniem po szafkach. To było dziwne, wyglądało, jakby chciał się najeść na zapas. Czuł jakiś lęk, że będzie głodny, że nie będzie miał co jeść. Wydawało się, że najważniejszą dla niego rzeczą było: być najedzonym.

Kiedy mu teraz o tym opowiadam, widzę, z jak dużym niedowierzaniem patrzy na mnie. Jest zawstydzony, zażenowany...

– Nie, to niemożliwe. Ja tak robiłem? Ja nic nie pamiętam. Boże, jak ja się wstydzę! – Wsuwa się głęboko w kanapę, jakby chciał się schować, zniknąć. Dotykam jego dłoni, mówiąc:

– Tak było, ale masz to już za sobą.

Kiedy przywieziono go do nas, nie miał dowodu ani ubezpieczenia. Nie miał też żadnych pieniędzy. Było mu ciężko, ale nie narzekał.

Siostra oddziałowa szybko załatwiła ubezpieczenie i zasiłek socjalny. Miał więc jakieś pieniądze na drobne wydatki. Nie umiał początkowo gospodarować pieniędzmi. Wydawał

prawie wszystko tuż po otrzymaniu i potem już na nic nie było. Z czasem było już lepiej. Przeliczał, ile potrzebuje na papierosy, na słodycze... i starczało mu do końca miesiąca.

Był miłym pacjentem. Nie wchodził w żadne konflikty. Nie był agresywny, nie przeklinał. Był ugodowy, zawsze innym ustępował i starał się dzielić z innymi wszystkim, co miał. Stawał się coraz bardziej rozmowny, dowcipny. Dał się lubić. Był wdzięczny za każdą pomoc. Ponieważ coraz lepiej się czuł, zaczynał myśleć o przyszłości i coraz częściej chciał o niej ze mną rozmawiać.

Czuł także potrzebę mówienia o tym, co było, wracania do przeszłości.

Pewnego dnia poprosił mnie nieśmiało o rozmowę.

– Mam prośbę. Nie wiem, jak mam to zrobić, ale chciałbym się dowiedzieć, co u mojej mamy.

– To może napiszesz list lub zadzwonisz?

– No, nie wiem. Chyba nie mam odwagi na list i telefon. Chyba jeszcze nie jestem na to gotowy. Po prostu się boję, jak zareaguje moja mama. Nie miałem z nią kontaktu już chyba 4 lata. Chciałbym wiedzieć, co u niej słyszeć. Bywało między nami ostatnio różnie. Nie byłem aniołem, ale kocham swoją matkę.

– Nie mogę napisać lub zadzwonić za ciebie. Musisz zrobić to sam.

– Wiem, ale się boję. Pomoże mi pani?

– Oczywiście. Pamiętasz adres i numer telefonu do domu?

– Co jak co, ale tego nie zapomniałem – powiedział, uśmiechając się promiennie.

To był dobry czas dla Konrada. Nastąpiła duża poprawa w jego samopoczuciu i w funkcjonowaniu. Dbał o swój wy-

gląd, stawał się coraz bardziej rozmowny i dowcipny. Był cichy, spokojny i wciąż czytał kolorowe czasopisma i gazety, które przynosili mu pacjenci, pielęgniarki, salowe. Najbardziej lubił czytać „Politykę” i „Newsweek”. Do czytania książek trudno go było namówić, ale gazety to co innego. Czasem myślałam, że on je tylko przegląda, więc prosiłam, aby mi streścił jakieś artykuły z tej lub tamtej gazety. Nie było problemu. Robił to chętnie, raz lepiej, raz gorzej, ale opowiadał mi o tym, co czytał.

Konrad przyznawał jednak, że najbardziej lubi te gazety, które mają dużo fotografii. Lista czytanych czasopism i gazet była bardzo długa. Był ich fanem, telewizja już go tak nie interesowała. Owszem oglądał, ale tylko to, co go ciekawiło.

Na kolejnym naszym spotkaniu Konrad nieśmiało zapytał:

– Ma siostra chwilkę? Jeśli nie, to może następnym razem, bo chciałbym porozmawiać. – Uśmiechnął się serdecznie.

Cały Konrad! Nigdy nie lubi się narzucać, zajmować czyjegoś czasu, absorbować swoją osobą.

Wychodzimy z sali gdzieś, gdzie nikt nam nie będzie przeszkadzał.

Jest ciepło, pogodnie, więc siadamy na ławce pod cudownie pachnącą sosną.

– Ja chyba nie jestem bardzo złym człowiekiem? – pyta zamyślony i zaczyna mi opowiadać o swoim życiu.

– Nie pamiętam mojego ojca. Zginął w wypadku, kiedy miałem 8 miesięcy. Znam go tylko ze zdjęć i rodzinnych opowiadań. Często przypatrywałem się ślubnemu zdjęciu rodziców. Nie mam żadnego zdjęcia z moim ojcem.

Wychowywała mnie mama. Mieszkaliśmy u dziadków. Dobrze wspominam tamte lata. Byliśmy z mamą bardzo związani. Mieliśmy tylko siebie. Mama pracowała, ale poświęcała mi wiele czasu.

Kiedy miałem 11 lat, mama poznała Marka. Początkowo nie mogłem go zaakceptować. Dotąd byliśmy tylko z mamą, a tu nagle pojawia się ktoś trzeci. Bałem się, że stracę mamę. Jednak Marek okazał się wspaniałym facetem. Był dobry dla mnie i dla mamy. Jeździliśmy często na wycieczki. Pamiętam dobrze nasz wspólny wyjazd do Warszawy. Lecieliśmy samolotem. Ależ to było przeżycie!!! Miałem potem o czym opowiadać w szkole. Marek zabierał mnie na mecze piłki nożnej, a gdy już podrosłem, zabierał mnie czasem na rozmowy przy piwku. Lubiłem go. Potem pojawili się Maciek i Krystyna. Miałem więc rodzeństwo. Bardzo ich kochałem, szczególnie brata, bo z charakteru był do mnie podobny. Było nam dobrze, tylko mama z czasem zaczęła coraz częściej zaglądać do kieliszka. Chowiała przed nami butelki z alkoholem w różnych miejscach. Nie lubiłem tego! Denerwowałem się bardzo, gdy zaglądałem do jakiejś szafy lub innych dziwnych miejsc i znajdowałem butelki. Nie wiem, czemu ona to robiła???

Nastąpiło milczenie. Widziałam, że trudno mu o tym mówić.

– Jak było w szkole? – zapytałam, chcąc zmienić temat rozmowy.

– Spoko! Nie byłem jakimś orłem, ale nie miałem problemów.

Po podstawówce wybrałem się do technikum spożywczego. Zdałem maturę i zostałem cukiernikiem. Zacząłem pracować w cukierni. Miałem świetnego szefa. Dobrze za-

rabiałem, miałem dziewczynę... i zaczęło się chodzenie na imprezy. Wtedy to wszystko się zaczęło. Byłem młody, miałem pieniądze, chciałem się bawić. Na imprezach bywali znajomi namawiający na coś mocniejszego niż alkohol. Początkowo miałem tylko spróbować, jak to jest. Nie skończyło się na jednym razie... nie potrafiłem odmawiać, gdy mi coś proponowano.

Potem wszystko potoczyło się już szybko: marihuana, kompot, amfetamina... i już było za późno, by przestać. Miałem wtedy 21 lat. Straciłem pracę. Zaczęło mi brakować pieniędzy, więc wynosiłem z domu co cenniejsze rzeczy. Mama i Marek próbowali z tym walczyć, ale ja przecież byłem już dorosły, więc co mogli zrobić. Wyjeżdżałem z domu, mieszkalem u znajomych i znów wracałem do domu. Mama nigdy z domu mnie nie wyrzuciła. Po trzech latach takiego życia poszedłem się leczyć do ośrodka, z czego bardzo cieszyła się moja rodzina. Skończyłem terapię i wróciłem do domu. To był błąd – te same miejsca, ci sami ludzie, więc nie mogło być dobrze. Po trzech miesiącach popłynąłem. Znów wyjazdy z domu, pomaganie przy produkcji i handel. Nigdy nikogo nie okradałem, oczywiście oprócz tego, co wynosiłem z własnego domu. Miałem szczęście, że nie zatrzymywała mnie policja. Nigdy nie sprzedawałem towaru małoletnim. Było dla mnie czymś strasznym, kiedy widziałem, jak na dworcach dzieciaki sprzedawały sobie oblesnym facetom, by mieć na kolejną działkę. Do dziś to pamiętam. Znów upłynęło kilka lat życia zniewolonego przez narkotyki, życia daleko od domu.

Tak naprawdę nie pamiętam, jak się tutaj znalazłem. Musiało być ze mną bardzo źle.

Konrad jest zakażony wirusem HIV ok. 8 lat. Jak się zakaził?

Jest przekonany, że doszło do tego drogą iniekcji – wspólny towar, czasem wspólny sprzęt. Nie myślał wtedy o HIV. Wiedział, że istnieje coś takiego, że często dotyka to narkomanów, ale jego życiem rządziły narkotyki i nie było miejsca na trzeźwe myślenie.

O zakażeniu dowiedział się, gdy leczył się w ośrodku. Wykonał test i okazało się, że jest seropozytywny. Wtedy jeszcze nie było potrzeby leczenia antyretrowirusowego.

– Jak przyjąłeś informację o zakażeniu? – zapytałam w trakcie jednej z naszych rozmów.

– Było mi smutno i ciężko na sercu, ale stało się. Nie rozpaczam się nad rozlanym mlekiem.

Dużą pomoc miałem ze strony terapeutów, którzy pracowali w ośrodku. Zdobyłem trochę informacji na temat życia z HIV. Nie myślałem o tym zbyt wiele.

Nigdy nie powiedziałem o HIV mojej rodzinie ani znajomym. Myślę jednak, że mama się domyśliła. Staralem się zawsze uważać, aby nikogo nie zakazić.

To był chyba sierpień, kiedy Konrad zaczął źle się czuć. Tracił przytomność, nie mógł jeść, chudł, ciągle spał i przestał palić papierosy. Nie interesowały go nawet kolorowe czasopisma, które nieczytane piętrzyły się na jego szafce. Powoli gasł. Znow zamknął się w sobie, był gdzieś poza tym miejscem, daleko od nas. Pogarszały się wyniki badań i niezbędne stało się leczenie antyretrowirusami. Trzeba więc było wysłać Konrada do szpitala, by przeprowadzić konieczne badania i włączyć go do programu anty-

retrowirusowego. Konrad jednak odmawiał pójścia do szpitala.

– Dlaczego tak się upierasz? Dlaczego nie chcesz pójść do szpitala? – pytałam, martwiąc się o jego stan zdrowia.

– Nie, bo się boję. Pójdę do szpitala, a tam narkotyki są w zasięgu ręki. Można wszystko załatwić. Boję się, że coś wezmę, że nie wytrzymam i wszystko znów przepadnie. Czuję się bardzo słaby, by się zmierzyć ze swoją narkomanią.

Przekonujemy go jednak, że szpital to konieczność. Zapewniamy, że nie pójdzie na ten oddział, który zna i którego tak się boi. W końcu się zgadza, wierząc, że umieścimy go na bezpiecznym oddziale szpitalnym. Żegnamy go, zapewniając, że będziemy na niego czekać.

Powrócił do nas po dwóch miesiącach. Zastosowano leczenie antyretrowirusowe, ale to już nie był ten sam Konrad. Jego stan zdrowia bardzo się pogorszył.

Nie chodził, miał założony cewnik, widoczny był niedowład prawej ręki. Najgorsze jednak było to, że przestał myśleć logicznie i nie miał poczucia rzeczywistości. Nie wiedział, jaka jest pora roku, jaki dzień tygodnia i pora dnia. Mało mówił, ale nas rozpoznawał.

Byliśmy zszokowani jego stanem. Kiedy się pojawiałam przy jego łóżku, miał ciągle to samo życzenie: kupić mu coś słodkiego, najlepiej snickersa. Miał niepohamowany apetyt na słodycze. Zjadał prawie natychmiast każdą ilość słodyczy, którą mu się przynosiło. Ogólnie było źle – III stadium AIDS... Wydawało się, że koniec jego życia jest coraz bliżej.

Przyjmował wszystkie zalecane leki, ale nie miał sił na jakiegokolwiek ćwiczenia rehabilitacyjne i nie potrafił sam siedzieć na łóżku bez jakiegoś podparcia.

Miał spokojną, pogodną twarz, choć oczy wydawały się smutne.

Po kilku tygodniach kontakt z Konradem poprawił się na tyle, że postanowiłam z nim porozmawiać o matce. Wiedziałam, jak bardzo pragnął na nowo nawiązać z nią kontakt.

Usiadłam przy jego łóżku i zapytałam:

– Konrad, czy chciałbyś zadzwonić do mamy?

– Tak, bardzo! Tylko co ja jej powiem? Że mam AIDS, że umieram?

Długo rozmawialiśmy o życiu, o przemijaniu, o śmierci i o tym, co jest po tamtej stronie życia. To była bardzo dojrzała, poważna rozmowa. Poprosił o możliwość wypowiedzenia się i przyjęcia sakramentu chorych. Wyczuwałam, że przygotowuje się do życia w nadprzyrodzonym wymiarze. Mówił spokojnie, sprawiał wrażenie, że nie boi się śmierci. Bardzo chciał porozmawiać z mamą, przeprosić, poczuć, że mu przebaczyła. Widziałam w jego oczach tęsknotę za rodzinnym domem, za ludźmi, którzy byli mu bardzo bliscy, za ich ciepłem, za ich miłością...

Postanowiłam sama zadzwonić do jego mamy. Zapytałam Konrada o numer telefonu, choć trochę nie dowierzałam jego pamięci. Okazała się jednak niezawodna.

Ta rozmowa nie była przyjemna. Mama Konrada nakrzyzczała na mnie; czego ja właściwie od niej chcę, że nie widziała syna od 4 lat, a do aniołów to on nie należał. Spokojnie poinformowałam o ogólnym stanie jej syna i podałam

swój numer telefonu, na wypadek gdyby chciała jednak zadzwonić. Czekałam. Byłam prawie pewna, że zadzwoni. Zadzwoniła po dwóch dniach. Była już spokojna i przeproszała za tamtą rozmowę. Powiedziała, że przyjedzie. Pokona te kilkaset kilometrów, aby się z nim zobaczyć.

– Było czasem źle. Były trudne, niemiłe sytuacje – mówiła, prawie płacząc – ale jestem jego matką. Muszę do niego przyjechać, tylko proszę nic nie mówić Konradowi. To ma być niespodzianka.

Wkrótce się pojawiła. Przyjechała wraz ze swoim synem, którego tak bardzo lubił Konrad. Po krótkiej rozmowie poszliśmy do Konrada. Był zszokowany, zaskoczony... chociaż przygotowywałam go na to spotkanie, mówiąc mu o czekającej go niespodziance. Nie wierzył, że mama może do niego przyjechać. Widać było szczęście na jego twarzy, ale także lęk w oczach. Bał się jej reakcji. Zapanowało milczenie. Mama Konrada i jej młodszy syn nie potrafili nic powiedzieć. Przerosła ich rzeczywistość. Po chwili podeszła do syna, uściskała go i ucałowała. Płakali oboje. Konrad był spokojny. Nigdy dotąd nie widziałam go tak szczęśliwego. Spełniło się jego marzenie.

Po wyjeździe mamy i brata Konrad był bardzo poruszony, ożywiony. Nie mógł uwierzyć, że to wszystko wydarzyło się naprawdę. To była euforia. Coś, co wydawało się niemożliwe, stało się!

Mijają kolejne miesiące pobytu Konrada w naszym hospicjum. To są dobre miesiące. Częste telefony od rodziny, czasem odwiedziny mamy i znaczna poprawa zdrowia. Działanie leków antyretrowirusowych, dobra opieka i ćwiczenia rehabilitacyjne spowodowały, że Konrad znów

zaczął chodzić przy balkoniku pod troskliwym okiem rehabilitantki, pani Tereni, którą bardzo lubi. Jeszcze kilka miesięcy temu wydawało nam się to niemożliwe. Jest znów uśmiechnięty, dowcipny i prowadzi z nami długie rozmowy. Lubi popatrzeć na rybki w akwarium. Siadamy wtedy na kanapie w aneksie i rozmawiamy, rozmawiamy...

– W szkole bardzo lubiłem biologię – wspomina Konrad – lubiłem zwierzęta. To zamiłowanie odziedziczyłem po dziadku. Miałem w domu ryby, chomiki i pająki. Myślałem nawet o pracy w zoo.

Z wielką pasją opowiada o swoich rybach, chomikach i pająkach. Wie o nich wiele, szczególnie o pająkach. Lubię słuchać, kiedy o nich opowiada.

Coraz częściej Konrad mówi o przyszłości.

– Chciałbym jeszcze trochę pożyć normalnie. Ale czy to możliwe?

Chciałbym zmienić swoje życie. Wiem, że nie wrócę już do domu, aby zamieszkać z rodziną. To byłby błąd – znów stare, znane dobrze miejsca i dobrzy znajomi. To by mnie zabiło. Jestem już teraz mądrzejszy, ale czy nie jest już za późno?

Myślę, że jest dla mnie gdzieś jakieś miejsce, gdzie mógłbym zacząć żyć normalnie, bez narkotyków. Z HIV-em da się jakoś żyć, ale narkotyki to dla mnie śmierć.

– Nie żałujesz, że tak potoczyło się twoje życie?

– Jest, jak jest – odpowiada zamyślony – nie ma co płakać nad rozlanym mlekiem.

Mija miesiąc za miesiącem. Stan zdrowia Konrada nie zmienia się. Nie może samodzielnie się poruszać. Nadal jest cewnikowany i skazany na leżenie w łóżku. Coraz rzadziej czyta gazety. Częściej ogląda telewizję.

W upalne, letnie dni zabieramy Konrada na wózek i wywozimy na zewnątrz, aby posiedział trochę na powietrzu. Lubi te przejażdżki, choć nie zawsze ma na nie dostatecznie wiele siły. Cieszy się, gdy chłopaki z terapii poświęcają mu trochę czasu na męskie rozmowy w cieniu naszych sosen.

Lubię zabierać go na te letnie spacerunki i siadać na ławce przy jego wózku. Nigdy się nie nudzimy. Śmiejemy się czasem zbyt głośno, gdy Konrad opowiada zabawne sytuacje ze swoich ulubionych seriali. Lubi seriale komediowe, szczególnie *Świat według Kiepskich* i *Rodzinę zastępczą*.

Prowadzimy też poważne rozmowy. Konrad coraz częściej chce rozmawiać o sensie życia, o tym, co jest w życiu ważne. Szczególnie pamiętam jedną z takich rozmów, kiedy zapytał: jak ja, narkoman, mam stanąć przed Bogiem? Zadawał wtedy wiele pytań: Czy Bóg dostrzeże we mnie człowieka, czy tylko narkomana? Czy Bóg na pewno mnie kocha?... Jak tam będzie?...

To trudne sprawy, ale z Konradem dobrze się o nich rozmawia, a w jego oczach widać tęsknotę, tęsknotę za tym, co kiedyś nadejdzie. Nadejdzie, tylko kiedy?

Konrad nie popadał w zwątpienie, w depresję, nie buntował się na rzeczywistość choroby, ale był już chyba zmęczony oczekiwaniem na polepszenie zdrowia. Ciężko mu było bezradność, zależność od innych. Nie mógł przecież wstać z łóżka, zrobić sobie swojego ulubionego cappuccino

i pójść do barku kupić snickersa. Staraliśmy się zaspokajać jego potrzeby i apetyt na słodycze. Niczego mu nie brakowało, ale wciąż był zależny, niesamodzielny, bezradny...

Nie narzekał, znosił to dzielnie. Czy miał nadzieję, że to się zmieni? Czy może z godnością chciał wytrwać do końca?...

Wytrwał dzielnie. Odszedł cicho i niespodziewanie, kiedy kończyło się lato. Odszedł wraz z opadającymi z drzewa jesiennymi liśćmi.

Nie było mnie przy tym, ale myślę, że odszedł spokojnie, bo wiedział, dokąd idzie... Wracał do początku.

Wrócił do swojego rodzinnego domu.

Mama zabrała ciało swego syna i pochowała na cmentarzu w rodzinnej parafii. Chciała mieć go blisko, chciała, by wrócił. Pomimo smutku w duszy, pomimo łez, cieszy się, że przy końcu jego życia znów się odnaleźli, znów czuli, że są sobie bliscy...

## IV

# MARTYNA

---

### *Muszę wyzdrowieć!*

Wraz z upalnym lipcem pojawiła się u nas Martyna. Miała 25 lat i była w stanie krytycznym. Przywieziono ją ze szpitala z przeznaczeniem na śmierć.

Była bardzo wyniszczona. Ważyła 26 kg.

– To była skóra i kości – opowiada pielęgniarka, która przyjmowała Martynę na oddział – po prostu, jak ja to mówię, „Treblinka”.

Bardzo bolało, bo to była młoda dziewczyna, a tak krytyczny stan. Spoglądając na jej zdjęcie w dowodzie, nie mogłam uwierzyć, że to ta sama dziewczyna.

Martyna nie przyswajała żadnych pokarmów. Jadła, ale nieustannie występowały torsje i biegunki. Miała tylko 6 komórek odpornościowych i bardzo wysoki poziom wiremii.

Mieliśmy z nią bardzo dobry kontakt. Rozumiała, co się do niej mówiło, i logicznie odpowiadała. Miała ogromną wolę życia i stosowała się do wszystkich zaleceń lekarzy i pielęgniarek. Powoli nabierała sił.

Zbliżały się imieniny Martyny, więc postanowiliśmy przygotować jej niespodziankę. Sergiusz upiekł ciasto z owocami. Krzysztof kupił dla niej kwiaty.

W dniu imienin spotkaliśmy się wszyscy, tj. pacjenci i personel dyżurny, aby złożyć Martynie życzenia i wspólnie poświętować. Był piękny letni dzień, więc przyjęcie imieninowe zorganizowaliśmy w cieniu pachnących lip i szumiących sosen.

Martyna była bardzo wzruszona. Cieszyła się z kwiatów, życzeń i imieninowego przyjęcia. W miłej atmosferze wspominaliśmy swoje najpiękniejsze imieniny i urodziny. Opowiadaliśmy o prezentach, które sprawiły nam największą radość. Przemek przyniósł gitarę i uświetnił nasze spotkanie kilkoma solówkami, a potem były nieudolne próby wspólnego śpiewania. To spotkanie bardzo nas zbliżyło do Martyny, która próbowała nam trochę o sobie opowiedzieć. Siedziała na krześle wyniszczona, słaba, ale bardzo szczęśliwa. Tego dnia czekała jeszcze tylko na jedno, na telefon od swojej mamy. Niestety, nie doczekała się.

W ciągu miesiąca stan zdrowia Martyny poprawił się, przybrała lekko na wadze. Musiała jednak wrócić do szpitala. Trzeba było wykonać badania i włączyć ją do programu antyretrowirusowego. Byliśmy pełni obaw, jak znieśie pobyt w szpitalu. Kiedy zawieźliśmy Martynę na oddział szpitalny, z którego przywieziono ją do nas, zdziwiono się, że ona jeszcze żyje i jest w lepszej formie.

Wróciła do nas po dwóch miesiącach. Kiedy wchodziłam na oddział, aby przywitać się z Martyną, Sergiusz popatrzył na mnie smutnymi i lekko przerażonymi oczami, mówiąc:

– Tylko proszę się nie przestraszyć na widok Martyny.

– Co się stało? – zapytałam zdziwiona.

Nic nie odpowiedział i poszedł w kierunku kuchni.

Nie zamierzałam się przestraszyć niczym widokiem. Tu w hospicjum widziałam już wiele. Przyznam jednak, że widok Martyny mógł szokować. Znów 26 kg wagi. Długo patrzyłam na jej wychudzoną twarz. To była czaszka powleczona cienką warstwą skóry, przez którą prześwitywały nawet te najcieńsze naczynia krwionośne. Oczy miała jednak pogodne. Cieszyła się, że znów jest u nas. Walka o jej życie i zdrowie toczyła się od nowa. Znów ciągle torsje, biegunki. Niemożliwe stawało się zjedzenie czegokolwiek. Było jej trudno połykać nawet lekarstwa, a przecież musiała brać leki antyretrowirusowe. Po kilku tygodniach sytuacja zaczęła się stabilizować. Powoli następowała poprawa. Przyjmowane leki, woła walki o życie i opieka personelu medycznego sprawiły, że udało się opanować chorobę i Martyna czuła się coraz lepiej. Zaczęła jeść, i to bardzo dużo, przybierała na wadze. Nabierała sił i przekonania, że tym razem też się uda.

Niezawodnym oparciem dla niej w walce z chorobą byli mąż Robert i teściowie. Pani Krystyna i pan Mietek to wspólni ludzie. Są dla Martyny jak rodzice. Kiedy była w krytycznym stanie, przyjeżdżali do niej 2 razy w tygodniu. Dzwonią do niej codziennie, aby nie czuła się samotna i wiedziała, że ktoś o niej myśli. Kiedy Martyna zaczęła już normalnie jeść, pani Krystyna przywoziła jej całotygodniowe zapasy jedzenia.

Teściowie towarzyszyli Martynie w walce o życie, ich odwiedziny dawały jej wiele radości i wewnętrznej siły. Wiedziała, że są osoby, którym na niej zależy i które na nią czekają.

Jest jeszcze jedna osoba, na której Martynie bardzo zależy. To jej mąż Robert. Z nim Martyna ma tylko kontakt telefoniczny. Robert jest w więzieniu, dzwoni do niej raz w tygodniu. Martyna wiele o nim opowiada. Jest od niej starszy o 8 lat. Uczucie, jakim Martyna darzy Roberta, dodaje jej siły do pokonywania trudów choroby.

– Muszę wyzdrowieć dla Roberta – powtarzała często. – Chcę być zdrowa, kiedy Robert wyjdzie na wolność.

Krystyna, Mietek, Robert to osoby nieustannie wspierające Martynę w chorobie i chyba także najważniejsze w jej życiu.

Czasem do Martyny zadzwoni jej matka. Nigdy jej nie odwiedziła, chociaż mieszka niedaleko. Martyna nie chce o niej mówić, choć pewnie chciałaby się z nią spotkać. Stara się usprawiedliwiać nieobecność matki w swoim życiu, ale wiem, że to sprawia jej ból.

Martyna jest narkomanką z 10-letnim stażem. Obecnie jest na programie metadonowym. Nigdy nie miała żadnych konfliktów z wymiarem sprawiedliwości. Ukończyła szkołę zawodową. Od 8 lat mieszka poza domem, w swoim mieszkaniu. Początkowo mieszkała sama, potem z Robertem.

– Jak to się stało, że zaczęłaś brać narkotyki? – zapytałam podczas naszego wspólnego wyjścia na zakupy.

– Właściwie to chyba z nudów i ciekawości. Miałam znajomych, którzy palili trawkę, więc postanowiłam spróbować. Potem już wszystko szybko się potoczyło: kompot, amfetamina... Nigdy jednak nie spałam na klatkach, nie włóczyłam się po dworcach. Miałam swoje mieszkanie i znajomych, którzy produkowali.

To wersja Martynty. Myślę jednak, że jej problemy rodzinne i szybkie odejście z domu miały wpływ na jej życiowe wybory.

Martynę wychowywała matka. Ojciec zostawił matkę, gdy córka miała 4 lata. Odszedł z najlepszą przyjaciółką mamy. To było dla nich trudne, ale miały siebie. Było im dobrze ze sobą. Po kilku latach w życiu mamy pojawił się Marcin. Martyna nie potrafiła odnaleźć się w tej nowej sytuacji.

Była zazdrosna o miłość matki. Nie zaakceptowała nigdy Marcina i robiła wszystko, aby go wyeliminować z ich życia. Nawet trudno sobie wyobrazić, do jakich rzeczy była zdolna, aby zniszczyć związek matki z Marcinem. Nie udało się, więc wolała wymykać się z domu, by spędzać czas w towarzystwie znajomych. Z nimi czuła się lepiej niż w domu. Matka Martynty próbowała zapanować nad sytuacją, ale nie potrafiła. Kiedy urodził się przyrodni brat Martynty, sytuacja jeszcze bardziej się skomplikowała. Martyna poczuła się odrzucona i samotna. Rozumiała, że mama musi małemu bratu poświęcać więcej czasu, ale było jej z tym bardzo ciężko. Postanowiła odejść. Miała dość konfliktów w domu. Znalazła mieszkanie i wyprowadziła się z domu, mając 17 lat. Postanowiono, że mieszkanie będzie opłacał ojczym, który cieszył się z takiej sytuacji. On zyskał spokój, a Martyna uwolniła się od rodzinnego życia. Była jednak zbyt młoda, aby poradzić sobie z życiem. Po skończeniu szkoły trochę pracowała, ale potem coraz bardziej jej życie opanowywał narkotyczny świat. Kilka lat później poznała Roberta. Był starszy od niej, ale dobrze się rozumieli. Robertowi także nie były obce narkotyki. Zamieszkali razem. Próbowali żyć na trzeźwo, mieli czasem

dłuższe okresy abstinencji. Wtedy Robert podejmował pracę, a Martyna gotowała, dbała o mieszkanie... Było im ze sobą dobrze. Nie mieli jednak dość sił, aby uwolnić się od uzależnienia. Nie podejmowali żadnych prób leczenia w ośrodkach, łudzili się, że poradzą sobie sami. Było jednak coraz gorzej...

Robert znalazł się w więzieniu, a Martyna bardzo wyniszczona trafiła do szpitala. Narkotyki zebrały swoje żniwo.

Martyna jest zakażona wirusem HIV. Nie wie dokładnie, kiedy i jak to się stało. Sądzi jednak, że musiał to być jakiś trafiony towar. Wiedziała, że istnieje HIV, ale to wydawało się jej takie dalekie, prawie nierzeczywiste. Nie myślała o HIV. Kiedy była na głodzie, najważniejsza była działka.

O zakażeniu dowiedziała się 3 lata temu. Zasłała na ulicy i przewieziono ją do szpitala. Zrobiono test na HIV i okazało się, że jest zakażona. Nie przejęła się tym zbyt, myślała tylko o ćpaniu.

Robert wie o jej zakażeniu. Jemu udało się tego uniknąć. Fakt zakażenia Martyny nic nie zmienił w ich związku.

O zakażeniu Martyny wiedzą także teściowie. Pogodzili się jakoś z tą informacją. Przeczytali wiele publikacji na ten temat i HIV nie jest dla nich czymś strasznym. Wiedzą, że z tym da się żyć.

Czy wie o tym także jej matka? Martyna nic jej nie powiedziała, ale chyba się domyśliła. Pewnie uważa, że to jest konsekwencja stylu życia córki, że sama sobie na to zapracowała.

Jest kolejny lipiec, minął już rok od przyjścia Martyny. Bardzo się zmieniła.

Wydoroślała, choć w wielu sprawach wciąż jest jeszcze dziewczynką. Waży już ponad 50 kg i martwi się, że jest za gruba. Bardzo chce być z Robertem, już kilkakrotnie widziała się z nim w więzieniu. Jest w dobrej formie.

Obserwujemy, jak dochodzi w niej do głosu jej kobiecość.

Zaczęła bardzo dbać o swój wygląd. Wyleczyła wszystkie zęby, chodzi do fryzjera, kupuje nowe ciuchy, robi delikatny makijaż... wszystko dla Roberta.

Chce się też czuć dobrze sama ze sobą. Jest szczęśliwą, zadowoloną dziewczyną, pełną energii i chęci do życia. Chciałaby już opuścić nasze hospicjum. Wkrótce to nastąpi. Rozmawiamy coraz częściej o przyszłości. Robert jeszcze spędzi kilka miesięcy w więzieniu. Jest na specjalnym oddziale, gdzie przechodzi terapię dla osób uzależnionych od środków psychoaktywnych, a Martyna wciąż na metadonie. Często rozmawiamy o tym, że może warto byłoby spróbować żyć bez metadonu i pójść do ośrodka na terapię. Wie, że to jest najlepsze rozwiązanie dla niej i dla Roberta. Robert też tego chce. Proponuję Martynie, aby uczestniczyła w grupach wsparcia dla kobiet zakażonych HIV organizowanych przez stowarzyszenia działające na rzecz osób seropozytywnych.

– Boję się jeszcze żyć bez metadonu. Boję się, że sobie nie dam rady, a do ośrodka na terapię... Czy ja wiem? Pomyślę o tym, pomyślę...

Dziś dzień pożegnania. Martyna wraca do domu, a właściwie do teściów. Czekać na męża, będzie mieszkała razem z nimi.

Ostatnie rozmowy, ostatnie wspomnienia... ostatnia wspólnie wypita kawa, wymiana numerów telefonów i zapewnienia o utrzymywaniu kontaktu... Jest nam smutno, ale cieszymy się, że Martynie udało się wrócić do życia i realizować swoje marzenia.

## V

# KRZYSZTOF

---

(...)

Marzec tego roku był mroźny, ale tego dnia, gdy przekraczałam bramę cmentarza na Wólce, świeciło słońce, było ciepło i pachniało wiosną. Udałam się do administracji cmentarza i zapytałam sympatycznie wyglądającą brunetkę:

– Krzysztof Ch... Gdzie rozpoczyna się ceremonia pogrzebowa?

– O godz. 12, przy głównej bramie cmentarza, samochód Zakładu Pogrzebowego... – odpowiedziała.

Wróciłam na parking. W samochodzie czekali na mnie Anka, Kasia i Darek z piękną wiązanką różowych tulipanów przepasanych żałobną wstęgą z napisem: OSTATNIE POŻEGNANIE OD PRZYJACIOŁ Z ANIELINA.

Kasia, Anka i Darek to pacjenci oddziału terapeutycznego naszego ośrodka, którzy znali Krzysia przebywającego w hospicjum. Wszyscy jesteśmy wyciszeni, zamyśleni... Udajemy się przed główną bramę cmentarza i czekamy.

Z cmentarnych kaplic i z innych bram cmentarza wyruszają konduktory żałobne. Licznie zgromadzeni ludzie, pogrążeni w smutku, odprowadzają swoich bliskich na miejsce wiecznego spoczynku.

Tuż przed godz. 12 przyjeżdża przed bramę samochód, z którego wysiada ksiądz i czterech ubranych na czarno mężczyzn. Sprawdzam nazwę zakładu pogrzebowego. Zgadza się, to ten. Ksiądz zakłada strój liturgiczny, jeden z mężczyzn otwiera tylne drzwi samochodu. Podchodzimy bliżej. Skromna, zwykła trumna i tabliczka z napisem:

*Krzysztof Ch... Żył lat 20.*

Był za młody, by umierać. Nie poznał prawdziwego życia, a już nie ma go wśród nas.

Rozglądamy się wokoło, wypatrujemy kogoś z rodziny, ale wciąż jesteśmy tylko my. Kładziemy naszą wiązaną trumnę i czekamy, wierząc, że ktoś się jeszcze pojawi. Nawet panowie z zakładu pogrzebowego pytają mnie ze zdziwieniem:

– Czy już więcej nikogo nie będzie?

– Nie wiem – odpowiadam ze smutkiem.

Poczekajmy jeszcze parę minut, może pojawi się rodzina, bo my jesteśmy z hospicjum, w którym Krzysiek spędził ostatnie lata swojego życia. Nie jesteśmy rodziną.

Odczekaliśmy jeszcze ok. 5 minut, ale nikt się nie pojawił.

– Musimy ruszać – powiedział ksiądz – bo tu wszystko musi być zgodnie z planem, choć wieczność jest poza czasem.

Ruszamy. Za samochodem z trumną idziemy tylko my. Bardzo jesteśmy tym poruszeni. Krzysio ma przecież rodzinę, więc dlaczego nikt się nie pojawił?

W naszych głowach kłębią się pytania, na które nie ma odpowiedzi. Idziemy w milczeniu, czując na sobie ciężar tej smutnej rzeczywistości. Nikt z nas nie był jeszcze na takim pogrzebie.

– Dobrze, że jesteśmy – mówi nagle Anka – przecież gdyby nie my, to nikt by teraz nie szedł za jego trumną, nikt nie byłby teraz z nim... Dlaczego tak? Dlaczego?

Droga na miejsce wiecznego spoczynku Krzysia jest długa. To wielki cmentarz, idziemy prawie na jego drugi koniec. Czasem ktoś z nas ogląda się za siebie z nadzieją, że może ktoś do nas jeszcze dołączy. Niestety, wciąż jesteśmy tylko my. Nie sposób opisać kłębiących się w nas uczuć. Nie ma w nas zgody na tę sytuację, ale nic nie możemy zrobić. Jesteśmy bezsilni wobec tej przedwczesnej śmierci i braku bliskich Krzysiovi osób.

Czy nikt go nie kochał? Czy nikomu na nim nie zależało? Zbyt wiele pytań i za dużo emocji.

Powoli zbliżamy się do wyznaczonego miejsca.

Wokół nas wiele nowych mogił i drewnianych krzyży. Ksiądz odprawia obrzędy pogrzebowe, a potem trumna z ciałem znika w ziemi. Na naszych twarzach pojawiają się łzy.

Długo jeszcze stoimy nad grobem i modlimy się wspólnie o wieczny pokój dla Krzysia. Trudno nam jest odchodzić, ale trzeba wracać do codzienności, zachowując w sercu wspomnienia tego młodego, tragicznego życia. Idziemy do samochodu.

W połowie drogi widzę przed sobą 5-osobową grupkę ludzi nerwowo rozglądających się wokoło. Przyglądam się im uważniej i rozpoznaję mamę Krzysia z rodzeństwem. Najmłodsze z nich trzyma w ręku doniczkę z niebieskimi fiołkami. Zatrzymuję ich i wskazuję drogę do grobu Krzysztofa. Matka Krzysia ma do mnie pretensje, że nie poczekaliśmy na nich z pogrzebem. To jakiś absurd, bo tutaj nic ode mnie nie zależało.

W milczeniu wsiadamy do samochodu i wracamy do ośrodka. Nagle Ania zwraca się do mnie:

– Proszę nam powiedzieć, jak to się stało, że Krzysio znalazł się w naszym hospicjum. Często stałam przy jego łóżku, wpatrywałam się w jego dziecięcą twarz, ale nie poznałam historii jego życia.

Krzysztof był naszym wyjątkowym pacjentem. Spędził u nas 6 lat swojego życia. Został przywieziony ze Szpitala Dziecięcego w... gdzie przebywał 3 miesiące na oddziale intensywnej opieki w stanie krytycznym. Do szpitala przywiozła go karetka pogotowia prosto z ulicy. Był brudny, miał liczne zadrapania na twarzy, opalone włosy, siniaki i duży guz na głowie. Doszło do zatrzymania pracy serca. Reanimacja przywróciła akcję serca, ale oddech był wspomagany. Założono mu rurkę tracheotomijną. Był w stanie śpiączki.

To czternastoletnie dziecko miało kontakt z narkotykami!

W szpitalu stwierdzono liczne ślady po ukłuciach, a w moczu wykryto alkaloidy opium i pochodne benzodiazepin. Zmiany skórne w okolicach nosa mogły świadczyć o tym, że chyba wachał klej. Prawdopodobnie stracił przytomność na skutek przedawkowania lub innej sytuacji związanej z zażywaniem narkotyków. W szpitalu wykryto także HCV...

Jego stan nadal był ciężki, ale zaczął już sam oddychać. Szpital dziecięcy nie chciał go dłużej trzymać na swoim oddziale, a inne szpitale też nie chciały go przyjąć, bo był dzieckiem. Szukano miejsca dla Krzysia. Sprawą zajęła się prasa. W tym czasie zaczęło funkcjonować nasze hospi-

cjum i ks. Arkadiusz Nowak, dyrektor ośrodka, zdecydował, że Krzysio zostanie przyjęty do hospicjum. To był nasz pierwszy pacjent.

Przewieziono go ze szpitala z następującą diagnozą: stan po zatrzymaniu krążenia, uszkodzenie centralnego układu nerwowego, uzależnienie mieszane, tracheotomia, gastrostomia...

Później dołączyły jeszcze epilepsja i wszelkie dolegliwości związane z długoletnim leżeniem.

Siostra Majka, która przyjmowała Krzysia na nasz oddział, była zszokowana jego stanem. Do dziś pamięta tamtą chwilę, kiedy go zobaczyła:

„Miał 14 lat, był malutki, drobniutki, miał niewinną buźkę i oczka aniołka.

Na jego ciele widoczne były liczne odparzenia, obrzęki, odleżyny. Cała twarz była w krostach... jego ciało to była jedna wielka rana. Bardzo cierpiał. Było to widać w jego oczach. Każdy dotyk go bolał. Kiedy był opatrywany po przyjeździe, to jęczał, mrużył oczy, kulił się w sobie... cierpiał. Po umyciu, nałożeniu maści i innych środków opatrunkowych oraz po podaniu środka przeciwbólowego w jego oczach było widać ulgę”.

Przez pierwszy miesiąc nasze pielęgniarki dzielnie walczyły z odleżynami, odparzeniami i przyzwyczajały Krzysia do siebie i do tego miejsca.

Początkowo Krzysio bał się – to było widać w jego oczach. Bał się bólu, bał się każdego dotyku. Każde pogłaskanie po główce wywoływało strach i powodowało, że Krzysio kulił się i zamykał w sobie jak ślimak w skorupie, a kiedy czuł, że nic złego mu się nie dzieje, otwierał szeroko

ko oczy i rozglądał się wokoło. Uczył się tego miejsca i uczył się nas.

Miał założoną rurkę tracheotomijną, a ponieważ były duże zalegania w drogach oddechowych i brak było odruchu połykania, został podłączony do ssaka. Był odsysany przez 24 godziny na dobę. Nie połykał, nie mógł jeść. Miał założony specjalny cewnik do żołądka, tzw. gastrostomię, przez którą otrzymywał specjalne preparaty odżywiające.

Przez pierwszy rok jego stan był stabilny. Przy pomocy pani Tereni, naszej rehabilitantki wykonywał ruchy kończynami. Był sadzany na łóżku, w fotelu w sali, a latem był werandowany. Został zakupiony specjalny leżak z parasolem i Krzysio zażywał leśnego powietrza.

Z czasem jednak utrzymujący się stan śpiączki, mimo ćwiczeń rehabilitacyjnych, powodował zanik mięśni, co utrudniało jakiegokolwiek pionowanie.

W czasie swojego pobytu u nas Krzysio urósł ok. 15 cm, ale nie przybywało mu masy mięśniowej, nie przybierał na wadze. W porozumieniu z dietetyczką stosowane były różne diety, ale to nie skutkowało. On po prostu nie przyswajał pokarmów.

Lekarz z komisji orzekającej o niepełnosprawności, który przyjechał do Krzysia, stwierdził tzw. karłowactwo hormonalne. W wyniku wypadku u Krzysia została uszkodzona tarczyca i nastąpiły zaburzenia hormonalne, które powodowały, że Krzysio nie dojrzywał, wciąż pozostawał dzieckiem.

Z czasem Krzysio zaczął czuć się u nas bezpiecznie. Był spokojny i nie bał się już dotyku.

Nie wiedzieliśmy, co myśli, co czuje, co dzieje się w jego wnętrzu, ale byliśmy przekonani, że reaguje na dotyk, na ból,

na głos. W jakimś stopniu także widział. Wodził wzrokiem za kolorami. Gdy siostry włączały w jego sali telewizor, przekręcał głowę w kierunku odbiornika i był zapatrzony w ekran. Trudno powiedzieć, czy widział cały obraz, czy tylko kształty lub zmieniające się kolory. Na jego twarzy widać było jakieś zainteresowanie. Był tak pochłonięty oglądaniem telewizji, że czasami nie trzeba było włączać ssaka, aby go odsysać.

Kiedy wchodziło się do sali i mówiło do Krzysia, otwierał oczy i rozglądał się. Gdy się pochylało nad Krzysiem, a na szyi była jakaś biżuteria, szczególnie złoty łańcuszek, to Krzysio wpatrywał się w nią i wodził za nią oczami.

W sytuacji jakichkolwiek dolegliwości widać było u niego wzmożone napięcie mięśniowe. Wydawał też odgłosy pomrukiwania.

Pielęgniarki rozpoznawał po głosie i po dotyku.

Ilekczo zachodziła konieczność zawiezienia Krzysia do szpitala (np. wymiana stomii), Krzysio czuł się tam źle. Rozpoznawał, że jest to obce miejsce, rozglądał się niespokojnie wokoło, a słysząc obce głosy, znów zaczynał się bać. Oczy były pełne lęku, kulił się w sobie jak mały zalękniony kotek. Kiedy bardzo cierpiał, to wzrokiem błagał o pomoc, a po policzkach spływały mu łzy.

Pamiętam moje ostatnie wizyty w szpitalu na krótko przed jego śmiercią. Kiedy przyjeżdżałyśmy do niego z Anią, siostrą oddziałową, lub z siostrą Majką, Krzysio poznawał nas po głosie, po dotyku. Otwierał szeroko oczy, wodził za nami wzrokiem, czasem mrugał, czuło się, że chce nam coś powiedzieć. Ożywiał się, odprężał, jakby cieszył się, że jesteśmy. Pielęgniarki w szpitalu zawsze dziwiły się, że Krzysio tak reaguje na nasze odwiedziny, że jest inny w naszej obecności.

W trakcie pobytu u nas siostry włączały Krzysiovi muzykę. Chyba to lubił. Przez jakiś czas przychodziła do Krzysia młoda dziewczyna z pobliskiej szkoły dla opiekunek. Siadała przy jego łóżku i czytała mu książki. Był wtedy wyjątkowo spokojny, wydawało się, że jest zasłuchany. Pielęgniarki, uśmiechając się, mówiły, że Krzysio nadrabia szkolne braki, że przyswaja to, czego sam nie zdążył przeczytać, że uczy się eksternistycznie...

Przez 6 lat pobytu Krzysia w naszym hospicjum początkowo nastąpiła poprawa jego stanu, potem była stagnacja, a następnie powolne pogarszanie się jego stanu zdrowia z powodu wieloletniej śpiączki, długoletniego unieruchomienia w łóżku i związanych z tym powikłań.

Kim był Krzysztof Ch...?

Jakim był dzieckiem?

To była tajemnica, którą tylko w jakimś małym stopniu udało się nam poznać.

Z wywiadu środowiskowego, który został dołączony do dokumentacji szpitalnej, wynika, że jego dzieciństwo nie było kolorowe.

Urodził się i mieszkał w jednej z warszawskich dzielnic, gdzie życie jest mroczne, trudne i rządzi się swoimi prawami.

Wychowywał się w rodzinie patologicznej. Rodzina była niepełna. Matka wychowywała sześcioro dzieci, ale ojcowie ich byli różni. Krzysio był drugim dzieckiem pani Doroły, która nie pracowała. Utrzymywali się z alimentów i zasiłków z opieki społecznej. Z wywiadu wynikało, że rodzina wykazuje objawy nieprzystosowania społecznego,

jest pod nadzorem kuratora sądowego, a pani Dorota jest osobą wykazującą brak równowagi psychicznej.

Kiedy powiadomiliśmy panią Dorotę o pobycie Krzysia w naszym hospicjum, pojawiła się u nas, ale nie okazywała jakiegoś większego zainteresowania synem. Liczyła, że otrzyma zasiłek pielęgnacyjny na niego. Z chwilą gdy się dowiedziała, że nie ma takiej możliwości, przestała przyjeżdżać. Przez pierwsze dwa lata przyjeżdżała do Krzysia tylko z okazji świąt, a potem już nie było z nią kontaktu.

– Krzysio bał się chyba mamy – wspomina jedna z pielęgniarek – bo kiedy do niego mówiła, to było widać w jego oczach przerażenie. Rozpoznawał jej głos i odczuwał lęk. Zamykał oczy, odwracał głowę i kulił się w sobie. Zresztą matka nie okazywała mu uczuć. Nigdy go nie pogłaskała, nie przytuliła.

– Kiedy Krzysio miał 18. urodziny – dodaje siostra oddziałowa – wysłałyśmy do jego mamy pismo, aby przyjechała na urodziny syna. Nie pojawiła się. Nie było jej przy nim, ale był tort, były świeczki, były wyrazy życzliwości... Razem z pacjentami z hospicjum spędziliśmy urodziny Krzysia w jego pokoju.

Mijały miesiące, lata, a mama Krzysia nie pojawiała się u nas i nie odpowiadała na nasze telefony, telegramy. Kiedy Krzysio wymagał specjalistycznych zabiegów, była potrzebna jej zgoda, ale jej to nie obchodziło. Całe szczęście, że zgodnie z prawem w sytuacji zagrożenia życia można było przeprowadzać te zabiegi bez jej zgody, inaczej to byłaby klęska. Gdy Krzysio stał się pełnoletni i trzeba było

wyrobić dowód osobisty, zaistniała konieczność wypełnienia stosownych dokumentów przez matkę. Niestety nasze zabiegi o kontakt z nią okazały się bezskuteczne.

Jej przyjazd do Krzysia, kiedy już umierał w szpitalu, był prawie cudem. Nasze liczne telefony i wreszcie włożona w drzwi przez naszego kierowcę kartka z informacją, że syn jest umierający, spowodowały, że w końcu zadzwoniła i przyjechała do szpitala na dwa dni przed śmiercią syna.

Krzysio miał niewinne oczy dziecka, ale aniołem to on chyba nie był. Miał na ciele liczne ślady po ukłuciach, świadczące o tym, że brał narkotyki. Na rękach miał tatuaże, wskazujące być może na przynależność do gangu młodzieżowego. Rodzeństwo Krzysia opowiadało, że nie był grzecznym dzieckiem. Kradł, zrywał biżuterię kobietom na ulicach...

O Krzysia upominała się też prokuratura. Przychodziły do nas pisma z prokuratury z prośbą o nadesłanie informacji o stanie zdrowia. Szkoda, że nikt nie przyjechał do nas, kiedy wysyłaliśmy kolejne pisma, że Krzysio jest w stanie śpiączki i nie rokuje najlepiej. Można by zaoszczędzić tej całej korespondencji z prokuraturą. Kiedyś otrzymaliśmy kwestionariusz, w którym pytano nie tylko o jego stan zdrowia, ale o postępy w nauce, postępy w wychowaniu...

To wszystko było smutne. Stanem zdrowia Krzysia interesowała się bardziej prokuratura niż jego rodzina.

Co musiało się wydarzyć w życiu tego chłopca, że w wieku 14 lat brał narkotyki, okradał ludzi... był poszukiwany przez prokuraturę? W jaki świat wprowadzili go dorośli? Czy chciał tak żyć? Czy wiedział, czym jest dobro? Czy zaznał w swoim życiu miłości?

Tego nie dowiemy się nigdy. Tajemnica została zabrana do grobu.

Minęło już kilka tygodni od śmierci Krzysia, a my wciąż o nim myślimy. Szczególną więź emocjonalną z Krzysiem przez te 6 lat nawiązały pielęgniarki. Był dla nich wyjątkowym pacjentem.

– Krzysio na zawsze pozostanie Krzysiem, a sala Krzysia wciąż jest salą Krzysia – mówi Ania, nasza siostra oddziałowa. – Łóżko Krzysia jest puste i takie pozostanie, dopóki może być puste. Część zabawek Krzysia zabrała mama, ale niektóre zostały i to są po nim pamiątki. Krzysio był zawsze przez nas traktowany jako nasze jeszcze jedno dziecko. Nigdy nie myślałyśmy o Krzysiu jak o osobie dorosłej. Każda z nas jest matką i traktowałyśmy go tak po matczynemu. Był dzieckiem pokrzywdzonym przez los, był przykładem niesprawiedliwości losu. Czy była w nim jakaś wina? Był tylko dzieckiem. Patrząc na niego, widzi się swoje dzieci, które trzeba kochać i cieszyć się tym wszystkim, co mamy, bo życie jest krótkie.

Często, stojąc przy łóżku Krzysia, zastanawiałam się, co takiego musiało się dzieć w jego życiu, co było źle, że doprowadziło go do takiej sytuacji, no i jakim trzeba być draniem, aby sprzedawać dziecku narkotyki. W tym wszystkim straszne jest to, jak wiele dobrych rzeczy ominęło go w życiu. Te 6 lat spędzonych u nas lat to całe jego młodsze lata. Zastanawiałyśmy się, jaką on ma świadomość. Jeśli miał jakąkolwiek świadomość, to było to straszne: leżeć bez ruchu i myśleć, czy ktoś przyjdzie i np. odgoni ode mnie muchę.

To jest chyba najgorsze, co może człowieka spotkać. Całkowita bezsilność, opuszczenie przez rodzinę i całkowita zależność od innych.

– Pokochałam go jak własne dziecko – wspomina siostra Majka. – Bardzo przeżywałam jego umieranie. Zamknęłam się wtedy w sobie tak jak zamykał się Krzysio, kiedy cierpiał. Jeszcze teraz, kiedy wchodzę do sali, to na łóżku widzę Krzysia, słyszę, jak pracuje ssak, czuję jego zapach, czuję jego obecność...

Emocjonalnie z Krzysiem związani byli także nasi pacjenci z terapii. Kiedy stawali nad Krzysiem, to budziły się w nich refleksje, widzieli, do czego może doprowadzić branie narkotyków. Dobrze, że do niego przychodzili, że go kochali. Nie mogli mu pomóc, ale czytali mu książki, włączali muzykę, byli z nim – to było ważne dla nich i dla niego. Jeśli Krzysio czuł ich obecność, to na pewno sprawiało mu to przyjemność, bo ktoś się nim interesował, ktoś z nim był. Modlili się za niego, aby miał siły to wszystko przetrwać.

Z wielkim przejęciem, zadumą zatrzymywali się przy łóżku Krzysia goście odwiedzający nasze hospicjum. Była wśród nich pani prezydentowa Jolanta Kwaśniewska. Bardzo przejęła się jego sytuacją i potem często pytała, co się z nim dzieje.

Pamiętam także Sylwię – Ekwadorkę, naszą znajomą, która na kilka dni przyjechała do Polski. Zwiedzając Zakopane, kupiła przepiękny drewniany krzyż. Chciała go zawieźć do Ekwadoru i podarować swoim rodzicom. Przyjechała do nas, odwiedziła nasze hospicjum i poznała

Krzysia. Bardzo przejęła się jego losem, chciała coś dla niego zrobić, chciała wyrazić mu swoje współczucie, więc podarowała mu właśnie ten krzyż, który miał być pamiątką z Polski dla jej rodziców w Ekwadorze. Ze łzami w oczach zawiesiła go przy łóżku Krzysia.

Krzysia już nie ma, ale krzyż pozostał.

Pogrzeb Krzysia organizowała opieka społeczna. Matka tym się nie interesowała. Zostawiła nam tę sprawę. Nawet nie zapytała, czy mamy w czym pochować jej syna. Krzysio nie miał u nas żadnych ubrań, miał tylko piżamki, które kupowaliśmy dla niego. Staraliśmy się zorganizować jakieś ubranie. Nie wyobrażaliśmy sobie, aby można go było pochować w foliowym worku. Dzięki życzliwości pracowników opieki społecznej i zakładu pogrzebowego udało się wszystko zorganizować tak, jak się należy. Był ksiądz, skromna trumna, ubranko dla Krzysia, były kwiaty i byliśmy my... Tylko rodzina jak zwykle nie zdążyła na czas, by być przy Krzysiu.

*Śpieszmy się kochać ludzi,  
Tak szybko odchodzą...*

Jakżeż niezwykle wydają się te właśnie słowa ks. Jana Twardowskiego w kontekście tej historii. Odszedł szybko, zbyt szybko.

Czy poznał, co to miłość? Czy czuł kiedykolwiek, że był kochany?



## VI

# JANEK

---

### *Normalne życie to frajerstwo*

Janek to wieczny wędrowiec, nieposiadający swojego stałego miejsca. Przyjechał do nas w smętny listopadowy dzień. Oprócz kilku rzeczy z odzieży przywiózł ze sobą tajemniczą drewnianą skrzynkę. Była dla niego bardzo ważna. Nie był to jednak jakiś skarb skrywający rodzinne pamiątki lub sentymentalne wspomnienia minionych 42 lat życia pana Janka. W drewnianej skrzyni znajdowały się jakieś pilniki, nożyczki, młotek i inne podobne przedmioty. Dziwiła nas zawartość tej skrzyni, bo chyba jeszcze żaden pacjent z czymś takim do nas nie przyjechał.

Pan Janek był wysokim, przystojnym mężczyzną o tajemniczym spojrzeniu i groźnym wyrazie twarzy. Nie wymagał jakieś specjalnej opieki, ale to nie oznaczało, że nie potrzebował naszej nieustannej uwagi. Szybko okazało się, że jest nieprzewidywalny. Przede wszystkim był samotnikiem i wszyscy wkolo mu przeszkadzali. Potrafił być bardzo agresywny, budził lęk wśród pacjentów. Było w nim bardzo wiele złości, rozgoryczenia, buntu i braku akceptacji dla ogólnie przyjętych życiowych norm i zasad. Trudno było go polubić. Był twardzielem, który nad wszystkim chciał mieć kontrolę i któ-

rego nic nie było w stanie złamać, ale czasem stawał się sympatycznym romantykiem i bardzo miłym facetem.

Miał ogromną potrzebę mówienia, więc mówił, a ja słuchałam. Nie był prymitywnym człowiekiem. Posiadał ogromną wiedzę, głównie z historii i geografii. Był bardzo odcytany. Klasykę literatury polskiej znał prawie na pamięć, szczególnie utwory Henryka Sienkiewicza.

– Skąd u Ciebie taka wiedza i znajomość literatury – zapytałam z zainteresowaniem – przecież skończyłeś tylko szkołę podstawową?

– No, wiesz... 15 lat w zakładach karnych robi swoje – odpowiedział z lekkim uśmiechem. – Kilkakrotnie trafiałem do więzienia. Odsiedziałem wyrok, wychodziłem i po kilku miesiącach znów wracałem. W sumie 15 lat. W więzieniu byłem samotnikiem, zawsze należałem do elity więziennej. Grypsowałem. Byłem kimś. Budziłem respekt, lubiłem sobie innych podporządkowywać.

Mam swoje zasady, którymi kieruję się w życiu, swój własny kodeks moralny. Lubię, jak inni stosują się do moich wymagań i zasad.

Zawsze lubiłem czytać, więc czytałem wszystko, co było w więziennych bibliotekach. Moją pasją były książki historyczne, szczególnie dotyczące wojen europejskich i światowych totalitaryzmów.

Nasze rozmowy często toczyły się w siłowni. Pan Janek nie miał przeciwwskazań, aby chodzić na siłownię, więc był tam częstym gościem. Zazwyczaj odwiedzał ją, gdy nikogo tam nie było. Siłownia to był sposób na rozładowanie nadmiaru energii, złości, agresji... Często więc nasze rozmowy toczyły się właśnie tam. Pan Janek nie lubił, gdy mu

się narzucało jakiś temat rozmowy. On sam lubił decydować o tym, kiedy i o czym rozmawiamy. Czasem przynosił ze sobą gitarę i ulubione organki i zamiast ćwiczyć, grał i śpiewał. Świetnie grał na organkach, z którymi, jak mówił: „nigdy się nie rozstawał”. Lubiał muzykę. Muzyka go uspokajała i wprowadzała w nostalgiczny nastrój. Lubiałam słuchać, jak gra. Zazwyczaj po takim muzykowaniu pan Janek opowiadał o swojej przeszłości.

– Pochodzę ze wsi. Rodzice pracowali na swojej ziemi, a także u innych rolników. Mam czworo rodzeństwa. To chyba była normalna rodzina, ale ja czułem się w domu źle. Matka była osobą bardzo zamkniętą, nie utrzymywała żadnych kontaktów ze swoją rodziną. Zawsze byłem traktowany przez rodziców gorzej niż reszta rodzeństwa. Nie czułem się kochany, lecz raczej poniżany, zaniedbywany, może nawet zbędny.

Pamiętam, jak w dzień I Komunii jednego z moich braci robiono przed domem zdjęcie, a mnie do tego nie zawołano. Było mi bardzo, bardzo smutno.

Bardzo chciałem się wyrwać z tej szarości wiejskiego, monotonna życia i z rodzinnego domu, gdzie nie czułem się kochany. Dlatego kiedy skończyłem podstawówkę, wyjechałem do miasta. Wstąpiłem do OHP i tam chciałem zdobyć jakieś wykształcenie zawodowe. Nauczyłem się kłaść posadzki, spawać, malować mieszkania... i zdobyłem jeszcze inne praktyczne umiejętności. Polubiłem miasto. Nie chciałem wracać na wieś i niezbyt chętnie odwiedzałem rodzinny dom.

Odsłużyłem wojsko, to była dla mnie szkoła życia. Pracowałem w wielu zakładach pracy w różnych częściach

Polski, np. w stoczni, fabryce samochodów, ale tak naprawdę miałem drugie zajęcie...

– Czy to ma związek z tą twoją drewnianą skrzynką? – zapytałam nieśmiało.

– Właściwie to tak – odpowiedział trochę niepewnie.

Po krótkim milczeniu dodał:

– Moje drugie zajęcie to kradzieże. Czasem kradłem z konieczności, ale przede wszystkim robiłem to dla przyjemności, dla sprawdzenia siebie, tego, na co mnie stać. To mi dawało pewien dreszczyk emocji. Okradałem mieszkania, szkoły, sklepy, biura, pralnie chemiczne... Był czas, że okradałem ludzi w pociągach. Starłem się dokonywać kradzieży, nie krzywdząc innych, czyli nie pobić, nie ranić, nie zabić. Każda poważniejsza kradzież wymagała przygotowania. Odczuwałem jakąś dziwną przyjemność, kiedy w nocy chodziłem po pustych biurach, szkołach, sklepach... Kradłem rzeczy, które można było łatwo sprzedać. Najczęściej przechowywałem kradzione rzeczy w depozycie na dworcach i w przechowalniach bagażu. Starłem się nigdy nie mieć przy sobie nic z kradzionych rzeczy, w razie zatrzymania. Będąc często legitymowany przez policję na dworcach, bywałem zatrzymywany, bo w ręce policji dostał się kwit bagażowy lub depozytowy. Sprawdzali, co dałem do depozytu. Tłumaczyłem się różnie, nie zawsze z dobrym skutkiem.

Przemieszczałem się z jednego końca Polski na drugi. Kradłem najczęściej sam, nie lubiłem działań w grupie. Do roboty w grupie trzeba być bardzo zgranym i mieć wzajemne zaufanie. Gdy wpadał jeden, wpadali często pozostali. Wolałem okradać sam, bo nikt mi nie dyktował, jak mam

działać. Sam podejmowałem decyzję, kiedy, gdzie i co zrobić, gdy ktoś mnie niespodziewanie nakryje. Wolałem działać samotnie, z natury jestem samotnikiem.

Jestem człowiekiem raczej zamkniętym w sobie jak moja matka, chociaż czuję potrzebę kontaktu z ludźmi.

Kiedyś okradało się łatwo, bo nie było takiej ochrony jak teraz. Kilka razy trafiałem do więzienia.

– Jak to się stało, że zacząłeś krążyć? – zapytałam, nie będąc pewna, czy usłyszę odpowiedź.

Zapanowało milczenie. Pan Janek zmienił sprzęt, na którym ćwiczył. Wykonał kilka brzuszków i zawiesiwszy wzrok na drzewie za oknem, powiedział:

– To było przed świętami Bożego Narodzenia. Miałem wtedy 17 lat i byłem w OHP. Miałem kilka dni wolnego. Nie chciałem jechać do domu na święta Bożego Narodzenia, więc wyruszyłem z kolegą w Polskę. Ukradliśmy w sklepie jedzenie i dużo słodyczy. Zamieszkaliśmy w jakimś pustym baraku. Jakiś mężczyzna zainteresował się, co my tam robimy, zauważył nasz kradziony towar i chyba domyślił się, że coś jest nie tak. Jednak nic nie powiedział. Całe szczęście, bo gdyby zareagował inaczej, to nie wiem, jak byśmy zareagowali.

– A twoja rodzina?

– Moja rodzina... chyba wstydziła się tego, jak żyję, ale też nigdy nie starała się wyciągnąć do mnie przyjaznej ręki – odpowiedział ze smutkiem.

Widziałam, że na wspomnienie o rodzinie cierpi. Miał wciąż ogromny żal, że nie czuł się dostatecznie kochany jako dziecko. Zawsze się bardzo denerwował, kiedy poruszaliśmy temat rodziny. Nie mógł wybaczyć rodzicom, ale

i sam potrzebował wybaczenia. Miał głęboko ukrytą wewnętrzną potrzebę powrotu do rodzinnego domu. Co go przed tym powstrzymywało? Może złość, wstyd, lęk...

Nasza kolejna rozmowa toczyła się na ławce w promieniach wiosennego słońca. Pan Janek był pełen energii. Jego stan zdrowia znacznie się poprawił. Coraz więcej sam chciał mówić o przeszłości i odsłaniał kolejne karty swojego życia.

– Dużo w życiu eksperymentowałem. Jako trzydziestokilkuletni mężczyzna chciałem doświadczyć tego, co dają narkotyki. Zacząłem palić marihuanę i brać amfetaminę. Miałem jednak nad tym kontrolę i jakoś mi to nie odpowiadało. To trwało krótko. Nie mogę też powiedzieć, abym dużo pił, nigdy nie byłem uzależniony od alkoholu. Nigdy też nie miałem własnego domu, wciąż jestem zameldowany w domu rodzinnym. Mieszkałem na dworcach PKP, w noclegowniach, na klatkach schodowych, w barakach, w pustych pomieszczeniach o charakterze mieszkalnym lub gospodarczym. Dobrze znam życie na warszawskich dworcach kolejowych. Kiedy miałem pieniądze, to mieszkalem w hotelach, i to czasem w dobrych hotelach.

Miałem kilka niezobowiązujących związków z kobietami. Jedna z nich była narkomanką. Była też zakażona wirusem HIV. Nie wiedziałem o tym, ale ona chyba wiedziała, lecz mi nie powiedziała. Zakaziłem się od niej drogą kontaktów seksualnych.

Dowiedziałem się o zakażeniu, kiedy trafiłem kolejny raz do więzienia.

Tam przeprowadzono mi badania. Lekarz więzienny przekazał mi informację o zakażeniu HIV. Byłem wściekły.

Wiedziałem, że ta choroba niesie śmierć. Powiadomiłem o tym matkę. Przyjechała do więzienia tylko po to, aby uzyskać od służby więziennej potwierdzenie tej informacji. Kiedy się dowiedziała, że nie kłamię, to nawet się ze mną nie chciała widzieć.

Bardzo to przeżyłem. Zostałem z tym sam.

Pamiętam, że w początkach ery HIV byli więźniowie, którzy się świadomie zakażali, aby mieć lepsze warunki w więzieniu. Nigdy tego nie robiłem.

Fakt, że jestem zakażony HIV, źle na mnie wpływa, nie mogę się z tym pogodzić. To wywołuje we mnie agresję.

Czuję, że czasem drażni mnie obecność zdrowych ludzi, bo życie jest piękne, a ja mam HIV... Widziałem, jak 20-letnia dziewczyna umierała na AIDS... To jest dla mnie zbyt trudne...

Mijają kolejne tygodnie pobytu pana Janka. Jego stan zdrowia wciąż się polepsza, a pan Janek coraz częściej znika. Wychodzi z hospicjum, nie zgłaszając wyjścia. Zawsze jednak wraca i przynosi jakieś prawdziwe lub sztuczne kwiaty. Czyżby z pobliskiego cmentarza?

Naszych uwag na temat jego niekontrolowanych wyjść nie bierze zbyt poważnie.

– Nie starałem się nigdy dostosować do ogólnie obowiązujących norm życia społecznego. Jestem wolnym człowiekiem. Lubię żyć swoim rytmem. Odpowiadało mi takie życie, jakie prowadziłem. Na tzw. dołach społecznych można spotkać ludzi z charakterem, którzy mają swój honor i godność. Normalne życie: praca, dom – to frajerstwo!

Po ostatnim wyjściu z więzienia zamieszkałem w jakimś opuszczonym, walącym się budynku. O takie miejsca do

mieszkania często toczą się walki. Jedni przeganiają innych. Ostatnio zajmowałem się zbieraniem puszek i innych materiałów po śmietnikach. Sprzedawałem to wszystko i były jakieś pieniądze.

Czasem wymuszałem różne rzeczy od ludzi lub w zarządach supermarketów.

Kilka miesięcy temu zaśląłem na ulicy i trafiłem do szpitala, a potem tutaj.

Czy wrócę stąd znowu na ulicę? Chyba nie chcę już tam wracać. Może znajdę gdzieś jakieś stałe, ciepłe miejsce, jakiś dom...?

W pewien upalny letni dzień pan Janek zabrał swoją drewnianą skrzynkę, kilka swoich ubrań i opuścił nas. Poszedł przed siebie...

Jego przeszłość zwyciężyła z marzeniami o jakimś stałym miejscu, o ciepłym domu na przyszłość.

## VII

# OLEK

---

### *Kocham ją, ale...*

Justyna to miła dziewczyna. Bardzo, bardzo dzielna. Robi wszystko, by być szczęśliwą z tym, którego bardzo kocha. Życie piętrzyło przed nimi wciąż nowe trudności. Przyjmowała te wezwania i robiła wszystko, by im sprostać.

Justyna nie jest naszą pacjentką, ale w naszym hospicjum bywa bardzo często. Jest dziewczyną Olka i bardzo go kocha.

Olek jest naszym pacjentem już po raz drugi. Był u nas w ubiegłym roku, ale był to krótki pobyt. Szybko wrócił do domu. Tym razem jednak Olek pozostanie u nas dłużej.

Historia Justyny i Olka to historia wytrwałej walki o życie, to historia o miłości, o wielkiej nadziei i o ludziach, którym zabrakło zrozumienia i życzliwości.

Aleksander ma 35 lat. Jest Rosjaninem. Gdzieś daleko pod Uralem tęskni za nim jego matka, której zdjęcie stoi na jego szafce przy łóżku razem ze zdjęciem Justyny.

Jako młody chłopak, po odbyciu służby wojskowej, wraz z grupą znajomych wyjechał z Rosji. Planowali wyjazd na

Zachód. Olek pozostał w Polsce. Właściwie nie miał tu nikogo bliskiego, więc trudno było liczyć na jakąś pomoc. Musiał sobie sam radzić. Bywało różnie, raz gorzej, raz lepiej. Kiedy była praca, były pieniądze i było gdzie mieszkać. Koledzy byli różni, więc żyło się różnie. Był młodym człowiekiem ciekawym życia, żyjącym na własny rachunek z dala od rodziny. Matka była gdzieś daleko, a ojciec już nie żył. Nie miał rodzeństwa. W jego życiu był okres, kiedy zbyt wiele pił i uzależnił się od narkotyków. Szybko się jednak opamiętał i poszedł na leczenie. To było pierwsze i ostatnie podejście do walki z nałogiem. Miał silną wolę i udało się ukończyć terapię i nie wracać do tego, co było. To właśnie w tamtym czasie zakaził się HIV.

O swoim zakażeniu długo nie wiedział, ale gdzieś głęboko w nim tkwiło przekonanie, że to mogło się zdarzyć. Nie chciał tego sprawdzać, ale zmienił swoje życie. Zamieszkał u przyjaciół, pracował... i poznał Justynę.

Zakochał się i życie nabrało kolorów, zaczęło mieć sens. Zamieszkali razem, chcieli się pobrać, ale to nie było takie proste.

Olek przebywał w Polsce nielegalnie, a na dodatek skradziono mu paszport.

Brak paszportu jakoś wcześniej mu nie przeszkadzał. Był sam ze swoją przeszłością, z przypuszczeniem, że ma HIV, więc życie nie miało większego sensu. Wszystko się jednak zmieniło. Teraz była Justyna i miał dla kogo żyć.

Otrzymać nowy paszport nie było łatwo, a bez paszportu nie było mowy o ślubie. Pojawiła się także choroba. Olek wykonał test na HIV, który potwierdził jego wcześniejsze przypuszczenia.

Olka przywieziono do nas na początku lata. Był w ciężkim stanie. Nie chodził. Cierpiał na bóle głowy. Wiele innych dolegliwości pustoszyło jego organizm. Wciąż spadała mu odporność. Wiedział, że nie jest dobrze, ale mocno wierzył, że znów może być lepiej. O wiele gorzej było tej wiosny. Leżał wtedy w szpitalu na OIOM-ie nieprzytomny przez kilkanaście dni. Walczył z chorobą, a sił dodawała mu nieustanna obecność Justyny. Przyjechała nawet z Rosji jego mama. Chciała go zobaczyć. Przywiozła ze sobą dokumenty potwierdzające tożsamość syna i udała się do ambasady rosyjskiej, by prosić o pomoc w załatwieniu paszportu dla Olka. Obiecano zająć się sprawą, ale na obietnicach się skończyło. Kiedy wróciła do Rosji, do ambasady w sprawie paszportu chodziła Justyna. Bezskutecznie. Bardzo jej zależało, aby Olek miał nowy paszport. Mogliby wtedy załatwić sprawę zawarcia związku małżeńskiego. Justyna kochała Olka i bardzo chciała być jego żoną. Olek też pragnął tego ślubu. Zmienił nawet wiarę. Był prawosławnego wyznania, a Justyna to katoliczka. Chcieli także ślubu kościelnego, więc Olek postanowił przyjąć wiarę Justyny. Pomagał mu w tym zaprzyjaźniony wspaniały o. Sylwester.

Ich ślub pomógłby także w załatwieniu ubezpieczenia dla Olka, a to ułatwiłoby jego leczenie.

Olek mówił pięknie po polsku. Dziwiłam się, że zgubił nawet gdzieś ten charakterystyczny rosyjski akcent.

Lubiłam z nim rozmawiać. W piękne letnie dni, kiedy nie było Justyny, zabierałam go na wózkach, by posiedzieć w cieniu drzew.

– Gdzie się nauczyłeś tak pięknie mówić po polsku? – zapytałam.

– Uczyłem się sam, a także z przyjaciółmi. Wiele czytałem. Chciałem dobrze mówić po polsku, w języku ludzi, wśród których mieszkałem. Dbałem o to – odpowiedział z lekkim uśmiechem.

– Czy tęsknisz czasem za rodzinnym domem?

– Jestem już tutaj kilkanaście lat, polubiłem ten kraj, ale jestem Rosjaninem i zawsze nim pozostanę. Tu mam Justynę i swoje życie, ale moje myśli, moje serce często przenoszą się do rodzinnego domu, do mamy, do ojca, który zmarł zbyt młodo w ramionach mojej mamy. Ona też tęskni za swoim jedynakiem. Dzwoni tutaj do mnie dość często, choć nie ma swojego telefonu. Teraz tu jest moje życie, tam nie ma dla mnie przyszłości... nic dobrego mnie tam spotkać nie może.

Tak bardzo jestem wdzięczny Bogu za Justynę. To jego największy dar dla mnie.

Kocham ją, ale czasem czuję, że jestem dla niej ciężarem, i chciałbym ją od siebie uwolnić... – nie potrafił już nic więcej powiedzieć, w jego oczach pojawiły się łzy.

– Justyna nigdy ci na to nie pozwoli... będzie z tobą zawsze. – Odpowiedziałam i zauważyłam, jak po jego policzkach popłynęły łzy.

Razem z Olkiem w sali leżał Irek. To byli dwaj inteligentni faceci. Świetnie się z nimi rozmawiało. Często w trójkę prowadziliśmy długie rozmowy o muzyce, o historii naszych narodów, o polityce, o przeczytanych książkach, o tolerancji.

To były także rozmowy o chorobie, o śmierci i Bogu. Olek podchodził spokojnie do swojej sytuacji. Nie podda-

wał się, ale gdzieś głęboko czuł, że tym razem już nie może się udać. Realnie oceniał to, co się działo.

Początkowo stan jego zdrowia nawet się poprawił. Lepiej wyglądał, siadał na łóżku i wychodził na małe spacerunki przy balkoniku pod czujnym okiem naszej rehabilitantki. Miał nawet apetyt, a Justyna dbała o posiłki. Przygotowywała zapasy jedzenia dla Olesia, aby mógł jeść to, co lubi. Napoje, owoce, słodkocze stały na szafce, a w lodówce zawsze pozostawiała jakieś schabowe, kurczaki, pierogi... Wystarczyło podgrzać. Podziwiałam ją za to, a Olek bardzo to doceniał i zjadał wszystko z apetytem dopóty, dopóki mógł.

Potem były nasilające się bóle głowy, biegunki, torsje. Potrafił się jednak uśmiechać i przekonywać, że będzie lepiej. Lepiej być jednak nie mogło.

Nie mogliśmy mu pomóc. Nie było dla niego leków antyretrowirusowych... bo nielegalnie przebywał w Polsce, bo brak ubezpieczenia... bo takie przepisy.

Wiedział o tym, tak było już wcześniej. Próbował zdobywać leki z drugiego obiegu, od kogoś, kto był na programie, ale ich nie brał. To było jednak od czasu do czasu i nie mogło zahamować postępu choroby. Czuł się bardzo źle, że kupował leki od kogoś, kto także ich potrzebował. Jednak tamci woleli pieniądze na kolejną działkę, a on chciał ratować swoje życie.

– Czułem, że to było niemoralne, ale nikogo nie zmuszałem do sprzedaży. Chciałem żyć, a inni z tych leków nie korzystali. Nie wiem, czy to było złe, nie wiem... – powiedział w trakcie kolejnej rozmowy i chciał o tym porozmawiać.

Bóle głowy były coraz bardziej dokuczliwe, ale próbował wytrzymać bez brania proszków przeciwbólowych.

– Nie chcę jeszcze teraz, bo co będzie potem – odpowiadał, kiedy pytałam, dlaczego nie chce sobie ulżyć.

Próbował zwyciężać z bólem. Starał się jeść, choć dawno już stracił apetyt i jego ciała zaczęło ubywać. Już nie wstawał z łóżka, nie miał siły rozmawiać, ale lubił, kiedy choć przez chwilę ktoś usiadł przy jego łóżku. Choć było go coraz mniej, to wciąż więcej było w nim nadziei.

Nadziei na co? Na to, że będzie lepiej? Nadziei, że po tamtej stronie nie będzie bólu... będzie lepiej?

Kiedy pojawiała się Justyna (a bywała coraz częściej), Olek bardzo się ożywiał. Rozmawiali ze sobą, ona go karmiła, myła, robiła manicure i pedicure... i byli szczęśliwi.

Chyba bolało go już wszystko, ale odkładał środki przeciwbólowe na później, choć przekonywałam go, że tak być nie musi.

– Nie chcę być odurzony lekami, chciałbym być przytomny i świadomy do końca – odpowiadał.

Podczas kiedy Olek walczył z chorobą, Justyna toczyła walkę z ludźmi, z przepisami... Robiła wszystko, by mogli wziąć ślub konkordatowy. Rozmawialiśmy często, co jeszcze można zrobić. Wspierali ją przyjaciele. Pisali pisma, a ona biegła do rosyjskiej ambasady, do różnych fundacji, do sądu rodzinnego... wszędzie tam, gdzie spodziewała się znaleźć jakąkolwiek pomoc. Bezskutecznie.

Nie traciła nadziei i mówiła Olkowi, że się uda. Wciąż szukała jakichś możliwości, a na razie zdecydowała się na ślub kościelny.

Od dawna mieli obrączki ślubne, byli już świadkowie. O. Sylwester załatwiał ostatnie formalności... ale właśnie wtedy Olek zaczął tracić świadomość...

Ksiądz tylko poświęcił obrączki i założyli je sobie na palec... Tylko to było możliwe.

Ona czuwała przy nim dzień i noc. Spała skulona na fotelu przy jego łóżku. Trzymała go za rękę, wspominała ich szczęśliwe chwile, modliła się, czytała „Pismo Święte” i prosiła Olka, aby walczył. Starał się, walczył, ale to było już ponad jego siły. Któregoś wieczoru o. Sylwester udzielił Olkowi sakramentu chorych, a potem zaśpiewał kilka piosenek po rosyjsku. Olek uśmiechnął się.

Któregoś dnia Justyna musiała wyjechać. Olek był w bardzo ciężkim stanie. Czuł, że Justyny nie ma, był niespokojny. Bał się, kiedy jej nie było.

Siedziałam i trzymałam go za rękę, zapewniając, że Justyna pojawi się za kilka godzin. Próbował otworzyć oczy i ucisnąć moją dłoń. Nie miał już siły na walkę, ale nie chciał zasmucać Justyny.

Otworzyłam usta z niedowierzaniem, bo kiedy usłyszał w drzwiach głos Justyny, szeroko, cudownie się uśmiechnął i wyciągnął do niej rękę. Mocno ją przytulił.

Prosiłam Justynę, by pozwoliła mu odejść. Płakała. Zrozumiała. Widziała, jak bardzo cierpi. Pożegnali się. Justyna wciąż przy nim była.

Odszedł spokojnie, późną nocą, przytulony do Justyny.

Mama Olka bardzo chciała się spotkać z synem. Prosiła o zaproszenie. Nie zdążyła. Przyjechała na pogrzeb.

Płakała i wciąż mówiła: *spasiba, spasiba, Olek był charo-  
szyj malczik.*

Chciała zobaczyć miejsce, gdzie umierał jej syn.

Na cmentarzu przy trumnie stoi duże serce z białych róż z napisem:

***Serce matki jest przy tobie.***

Ktoś z przyjaciół gra na gitarze i śpiewa przecudną balladę o życiu, przemijaniu, o przyjaźni i o miłości. Kilkadziesiąt młodych ludzi z naszego ośrodka trwa w przejmującym milczeniu.

Potem modlitwa po polsku i po rosyjsku i trzeba odejść.

Patrzę na Justynę: płacze, a w dłoniach trzyma małe serce z białych róż:

***Ode mnie dla Ciebie. Z całego serca na zawsze. Tysia.***

## VIII

### **Robert**

---

#### *Kim teraz jestem?*

Późnym kwietniowym popołudniem pan Robert siedział w fotelu w swojej sali, oczekując wypisu z naszego hospicjum. Wraca do swoich.

Trudno powiedzieć, czy się cieszy, ale na pewno jest lekko zdenerwowany. Wydaje się niepewny swojego powrotu. Próbuje się uśmiechać... Jeszcze ostatnie wskazówki pani doktor Beaty... podanie dłoni na pożegnanie, jakieś słowa podziękowania... recepty, leki na podróż...

Samochód rusza. Pozostaje puste miejsce, wspomnienia i niepewność, jak sobie poradzi. Czy znajdzie wsparcie? Czy poczuje się zaakceptowany?...

Pamiętam dobrze pierwsze tygodnie pobytu pana Roberta w naszym hospicjum. Leżał sam w sali. Jego ciało pokryte było plamami i naroślami różnej wielkości. Wydawało także bardzo przykry zapach, który przenikał całą salę i sprawiał, że dłuższa obecność tam stawała się trudna.

Podziwiałam nasze pielęgniarki. Wkładałam wiele wysiłku w to, aby posiedzieć przy nim dłużej i porozmawiać. Wiedziałam, że bardzo potrzebuje czyjeś obecności. Był już

zmęczony chorowaniem. Zamknięty w sobie, mówił mało, cierpiał samotnie.

Czy zdawał sobie sprawę z tego przykrego zapachu, który wydzielało jego ciało? Jeśli tak, to musiało to bardzo boleć, musiało to być dla niego bardzo upokarzające. W jego oczach widać było zawstydzenie i niezgodę na sytuację, w której się znalazł.

Pan Robert był 50-kilkuletnim człowiekiem, choć wyglądał na wiele więcej. Był wyniszczony przez chorobę. Chorował już dłuższy czas.

Chorowało jego ciało, ale jeszcze bardziej cierpiała jego dusza. Przez kilka tygodni leżał samotnie, zależny od lekarzy i pielęgniarek. Nikt z bliskich go nie odwiedzał, a dzwoniли tylko znajomi.

Stopniowo stan jego zdrowia zaczął się poprawiać. Zaczął wstawać i z czasem wychodzić z sali na korytarz. Wkrótce potem zaczął przychodzić na wspólne posiłki z naszymi pacjentami.

Zmniejszył się trochę ów przykry zapach, ale był jeszcze na tyle silny, że szedł za panem Robertem. Pacjentom trudno było spożywać posiłki w jego towarzystwie. Próbowali być razem z nim, aby mu nie sprawiać przykrości. Jednak nie wszystkim się udawało, mimo że bardzo się starali.

Pan Robert chyba się domyślał, że jest jakiś problem. Zaczął przychodzić na posiłki wtedy, kiedy już nikogo nie było. Ta sytuacja sprawiała, że wyrastał jakiś mur pomiędzy nim a resztą pacjentów. Izolował się, nie chcąc narażać siebie i innych na przykrości.

Rozmawialiśmy o tym. Starał się i starali się także inni pacjenci. Chcieli go zaakceptować. Był od nich o wiele starszy, prawie nic o nim nie wiedzieli oprócz jednego... był inny.

W czasie kilku pierwszych miesięcy jego pobytu u nas przebywał kilka razy w szpitalu. Robiono badania, dopasowywano leki, zmieniano terapię antyretrowirusową, co sprawiło, że jego stan bardzo się polepszył. Najpierw zniknął przykry, uciążliwy zapach, a potem zaczęły się zmniejszać plamy i narośle na ciele. Każda kolejna wizyta w szpitalu niosła nowe nadzieje.

Pan Robert czuł się znacznie lepiej, był silniejszy i chętny do kontaktów z innymi. Nasze rozmowy były coraz częstsze i dłuższe, chciał rozmawiać o swoim życiu, ale tylko o tym, co było. Teraźniejszość bolała, a o przyszłości wolał nie myśleć.

Nigdy o nic go nie pytałam. Staralam się tylko słuchać. Nie zapytałam nigdy, jak to się stało, że się zakaził HIV. Mówił o swojej pracy za granicą... o wypadku... o transfuzji krwi...

Kolejne tygodnie leczenia sprawiają, że fizycznie pan Robert czuje się o wiele lepiej, ale psychicznie jest coraz gorzej. Zniechęcenie, brak nadziei, samotność, depresja...

Pan Robert jest księdzem, zakonnikiem. Nikt tu do niego nie zwraca się *proszę księdza*. To jego decyzja, chciał, by zwracać się do niego *panie Robercie*.

Pacjenci zdążyli już zaakceptować to, że jest od nich o wiele starszy, że jest księdzem, ale jakiś dystans pozostał, nie jest przecież jednym z nich, jest inny. To inne światy, on ksiądz, a oni narkomani, alkoholicy... Często brak wspólnych tematów do rozmów, bo wiele ich dzieli, ale coraz częściej ze sobą przebywają. Widać, że ks. Robert miał dobry kontakt z ludźmi.

– Staram się, ale bardzo trudno jest mi się tutaj odnaleźć – tak zaczyna się nasza kolejna rozmowa. – Jestem księdzem. Przez całe życie byłem z ludźmi, pracowałem z nimi i dla nich, czułem się potrzebny. Kim teraz jestem? Co z moim kapłaństwem? Komu jeszcze mogę być potrzebny?

– To może jakaś wspólna codzienna msza św., wspólny brewiarz... – próbuję kontynuować rozmowę, która trwa bardzo, bardzo długo.

Rozmawiamy o jego życiu, o jego powołaniu, o wspólnocie i ludziach, którym niósł pomoc duszpasterską w kraju i poza jego granicami. Słucham, jak mówi o swoim cierpieniu, o tym, jak trudno, jak samotnie...

Pan Robert spędza dużo czasu w naszej kaplicy. „Różaniec”, „Koronka do Miłosierdzia Bożego”, czytanie „Pisma Świętego”... ale to za mało. Tęskni za wspólną mszą św. sprawowaną z wiernymi, za wspólną modlitwą brewiarzową... za pracą duszpasterską... Brakuje mu tego.

Stopniowo coraz bliżej poznajemy ks. Roberta. Cieszymy się, gdy widzimy, jak z ogromnym zaangażowaniem opowiada o swojej pracy duszpasterskiej w parafiach. Wtedy się uśmiecha, a jego oczy promienieją. Opowiada wiele ciekawych historii o swojej pracy za granicą. Zastępował swoich współbraci w pracy w Niemczech, był w Austrii, w Australii. Jest pasjonatem historii i staroci. Będąc w różnych parafiach, wynajdywał jakieś stare figury, ołtarze... Lubił wiedzieć, jak kiedyś wyglądał kościół, w którym pracował, i czym żyła kiedyś parafia, w której był duszpasterzem. Opowiada też, jak pracował wśród chorych. To są ciekawe rozmowy, rozmowy o miejscach, ludziach, wydarzeniach, a przede wszystkim o nim samym.

Lubi czytać książki, gazety niekoniecznie. Uwielbia wani-liową chałwę, princessę o smaku kokosowym i coca-colę.

Współbracia ze wspólnoty nie interesują się zbyt-  
nie przebiegiem jego leczenia. Rzadko go odwiedzają. Przyjeżd-  
żają na krótko, zostawiają jakieś pieniądze i nie rozmawia-  
ją o jego potrzebach. Nie zabierają na weekend lub święta  
do wspólnoty. Czy ks. Robert czuje z ich strony jakieś  
wsparcie? Dlaczego tak? Czyżby już go skreślili, wykluczy-  
li ze wspólnego życia...?

To wywołuje w nim smutek, niepewność, lęk...

Nie możemy pozostać bezczynni. Ksiądz dyrektor i nasz  
kapelan, o. Benek, poświęcają mu wiele uwagi i czasu. Kon-  
taktują się z jego przełożonymi, proszą o spotkanie, by po-  
rozmawiać o dalszym pobycie ks. Roberta w naszym hospi-  
cjum. Jakie efekty?...

Ks. Robert otrzymuje także brewiarz. Modlitwa brewia-  
rzowa jest dla niego bardzo ważna. Może znów odprawiać  
mszę św.

Początkowo towarzyszy mu o. Benek, potem staje się  
samodzielny. O. Benek proponuje mu odprawianie nie-  
dzielnej mszy św. w ośrodku pomocy społecznej, który  
z nami sąsiaduje. Jest dobrze... Znów poczuł się kapła-  
nem, znów czuje się potrzebny, ale nie potrafi patrzeć  
z nadzieją w przyszłość. Tu nie jest jego dom. Coraz czę-  
ściej zastanawia się, gdzie jest ten dom, bo właśnie opróż-  
niono jego pokój, a rzeczy wyniesiono gdzieś na strych  
domu zakonnego. Czy nie ma już tam dla niego miejsca?  
Całe życie oddał wspólnocie... To boli. Jest żal, który du-  
szę rani, którego tak trudno się pozbyć, po którym rany  
tak trudno się goją.

Tak... ufa Bogu, czuje, że Bóg daje mu codziennie siły, by znosił swoje cierpienie, ale potrzebny jest mu bliski człowiek, potrzebna jest wspólnota, w której było się tyle lat, ktoś, z kim przeżywało się swoje powołanie. Nie wystarczą rodzina, znajomi...

Nie znamy historii jego życia, tajemnicy jego powołania, ale cokolwiek się wydarzyło w przeszłości, zasługuje przecież na braterską miłość.

Mijają kolejne miesiące. Ks. Robert czuje się fizycznie dobrze, ale psychicznie coraz gorzej. Znowu zamyka się w sobie, dokuczają mu samotność, dopada go depresja. Personel medyczny próbuje temu zaradzić. Są jednak cierpienia, które potrzebują obecności bliskich nam osób, potrzebują miejsca, które jest naszym domem. Tylko wtedy mijają. Tęskni...

Zbliżają się święta Bożego Narodzenia. Widzę, jak bardzo chciałby pojechać do wspólnoty. W przeddzień Wigilii spotykam się z pacjentami, aby złożyć życzenia, by podzielić się opłatkiem. Opowiadamy o swoich najpiękniejszych bożonarodzeniowych wspomnieniach. Przemek przynosi gitarę i śpiewamy kolędy... a potem są prezenty. Ks. Robert siedzi gdzieś z boku, myślami jest gdzieś daleko, a śpiewając kolędy, powstrzymuje łzy. Pewnie jeszcze tak nie przeżywał Bożego Narodzenia. Tak bardzo pragnął być razem ze współbraćmi, ale nikt po niego nie przyjechał, aby zabrać go na święta do wspólnoty zakonnej.

Ks. Robert czuje, że dalszy jego pobyt w hospicjum nie jest konieczny. Nie wymaga już jakiejś szczególnej opieki. Psychicznie na pewno czułby się lepiej w domu. Jednak

chyba boi się powrotu. Nie wie, gdzie jest teraz jego dom. Przełożeni nie interesują się jego stanem zdrowia i tym, czy może już wrócić.

O. Benek próbuje to rozwiązać. Dużo rozmawia z ks. Robertem. Kontaktuje się także z jego przełożonymi. Mijają kolejne tygodnie. Wciąż niepewność...

W końcu zapada decyzja: ks. Robert wraca do wspólnoty.

Widać, że się cieszy. Nie jest jednak wolny od lęku. Jak to będzie? Czy znajdzie akceptację? Czy wspólnota będzie dla niego wsparciem?

Przebywał u nas prawie półtora roku. Przyjechał w ciężkim stanie. Myślał, że nie przeżyje. Przełożeni pewnie myśleli podobnie. A jednak. Jest dobrze. Zawsze mógł liczyć na naszą pomoc. Wie, jak było ciężko, ale u nas zawsze znajdował zrozumienie i wsparcie. Mógł liczyć na troskliwość lekarzy, serdeczność pielęgniarek, życzliwość innych pacjentów. Zawsze był ktoś, kto niósł z nim jego samotność i szanował jego powołanie.

Uzgodniono datę wyjazdu. To już dziś. Od rana ks. Robert pakował swoje rzeczy, żegnał się z tym miejscem i ludźmi, którzy stali się mu bliscy. Przyjechał po niego młody współbrat, z którym właściwie się nie znał. Ostatnie spojrzenie za siebie, ostatni uśmiech... Odjechał.

Trzy miesiące później do o. Benka przyszedł e-mail, który był dla nas ogromnym zaskoczeniem:

*Zgodnie z przewidywaniami ks. Robert zakończył swoje życie. Jego pobyt u Was w ośrodku był zbawienny. Niestety tu na wolności nie umiał jednak żyć. Osłabł szybko. Przyczyn pewnie było wiele. Trafił do szpitala ostatniego dnia. Nie umiano mu jednak pomóc.*

Czytaliśmy go kilkakrotnie, bo trudno nam było uwierzyć w to, co się stało. Wyjechał od nas w dobrym stanie zdrowia, zaopatrzony w leki, w recepty. Przełożeni otrzymali wskazówki, jak i gdzie powinien się dalej leczyć i co jest mu potrzebne, by normalnie żyć. Wierzyliśmy, że mu się uda. Zrobiliśmy wszystko, aby znów czuł się potrzebny, spełniony, akceptowany... i szczęśliwy.

## IX

### **MAREK**

---

#### *Bez miłości życie nie ma sensu*

*Jestem osobą średniego wzrostu i szczupłej budowy ciała. Mam oczy szaroniebieskie. W ładnym uśmiechu przeszkadza mi brak zębów. Fryzurę mam jak zawsze niepospolitą. Jestem kontaktowy, sympatyczny, ale potrafię też mieć cięty język. Lubię być niezależny, robię to, co czuję... Przez mój charakter, ubiór i fryzurę czuję się odmieńcem. Lubię zaskakiwać.*

Tak opisał siebie Marek w trakcie jednego z naszych zajęć terapeutycznych. Potrzebował jednak wiele czasu, aby napisać te słowa.

Kiedy przyjechał do nas po długim pobycie w szpitalu, był bardzo wychudzony, miał ropiejące rany i nie był w stanie sam wstać z łóżka. Był bardzo zamknięty, nie chciał mówić o sobie. Leżał skulony, milczący, nieakceptujący miejsca i sytuacji, w której się znalazł. W nocnej ciszy, kiedy nikt nie widział, płakał samotnie. Nie chciał rozmawiać, nie czytał, nie oglądał telewizji... cierpiał. Cierpiało jego ciało, ale jeszcze bardziej cierpiała jego dusza. Jedyłą ulgę temu wewnętrznemu cierpieniu przynosiło słuchanie muzyki. Było ciężko, pojawiła się depresja.

Rany powoli się goiły, mógł sam siedzieć na łóżku i rozpocząć pracę z naszą rehabilitantką, panią Terenią, aby zacząć chodzić. Wciąż jednak był gdzieś poza nami, gdzieś głęboko ukryty, zamknięty na wszystko, co wokół.

Próbowałam do niego dotrzeć, ale to nie było łatwe. Wiedziałam, że za tym murem milczenia jest wołanie o pomoc. Na wiele sposobów chciałam się do niego zbliżyć i nic. Postanowiłam więc go ignorować. Obserwowałam, jak na takie moje zachowanie zareaguje. Modliłam się w jego intencji i widziałam, jak zaczyna pękać.

Wyjechałam na kilka dni, a kiedy wróciłam, czekał na mnie i prosił, abym z nim porozmawiała. Czekaliśmy na tę chwilę prawie pół roku.

To była bardzo długa rozmowa. Pełna buntu, łez i bólu, ale zaczęła w jego życiu inny rozdział.

Marek to typ zbuntowanego artysty. Ma 28 lat. Urodził się w małym miasteczku, ma dwie młodsze siostry, które bardzo kocha. Normalna rodzina.

Jego wspomnienia z dzieciństwa wiążą się z jego ojcem: wycieczki po lesie, nauka jazdy na rowerze, pierwszomajowe pochody, prezenty od św. Mikołaja, małe lodowisko robione przez ojca tuż przed domem... a potem pierwszy zawał. Dobrze pamięta tamtą noc. Przestraszony płakał i modlił się, aby tato wyzdrowiał. Cieszył się, że Bóg go wysłuchał.

Muzykę kochał od zawsze, miał także talent plastyczny. Po ukończeniu szkoły podstawowej chciał pójść do szkoły plastycznej, ale mama odradzała. Dalszą naukę kontynuował w szkole zawodowej. Tu zaczęły się problemy. Opuszczał szkołę, włóczył się po kawiarniach, knajpach, „wolnych chatkach”. Na lekcjach często był naprochowany. Palili

marihuanę, nie stronił też od alkoholu i coraz trudniej mu było dogadać się z matką.

Nosił irokeza, założył młodzieżowy zespół punkrockowy. Grał, śpiewał, pisał teksty, lecz coraz więcej w jego życiu było narkotyków. W drugiej klasie został usunięty ze szkoły, więc całymi tygodniami był gdzieś na squacie. Włóczył się po Polsce i tylko czasami wracał do domu.

Następne lata to spadanie w dół. Coraz więcej narkotyków, życie w kłatkach, detoksy, ośrodki dla uzależnionych... coraz gorzej. Brakowało sił, by powiedzieć: dość. Tracił zdrowie, często nieprzytomny trafiał do szpitala.

Ten ostatni raz był najgorszy. Był na OIOMI-ie, chociaż wydawało mu się, że jest w więzieniu i porywają go kosmici, a za szybko sataniści odprawiają czarną mszę. Już jakby go nie było... potem ból w piersiach i ktoś zawołał: *Mamy go!* To była reakcja lekarza na jego powrót do rzeczywistości.

Potem długa, długa walka o życie w szpitalnej sali i wreszcie przyjazd do Anielina.

Mijają kolejne tygodnie. Stan zdrowia Marka znacznie się poprawia. Jego ropiejące rany wciąż wymagają troski pielęgniarek, a niesprawne nogi rehabilitacji pod okiem pani Tereni. Marek staje się coraz bardziej samodzielny, chociaż wciąż jeszcze porusza się na wózku.

Jest już bardziej otwarty na innych i przychodzi na nasze terapeutyczne spotkania. Bardzo lubi, kiedy zadaję mu do napisania jakąś pracę.

Zauważyłam, że oprócz zdolności muzycznych i plastycznych ma jeszcze talent literacki. Postanowiłam to wy-

korzystać w jego terapii. To był most, po którym szedł do brzegu, gdzie czekało go nowe życie.

– Marek, ty masz talent do pisania – powiedziałam w czasie naszej kolejnej rozmowy.

Zwiesił głowę, tajemniczo się uśmiechnął i odpowiedział:

– Kiedyś pisałem teksty do naszych muzycznych kawałków, a kiedy byłem w poprzednim ośrodku, pisałem wiersze i nawet miałem tam swój wieczór autorski.

– No to co, powtórka? – zapytałam zachęcająco.

– Myślałem nawet ostatnio o tym, ale nie mam na czym pisać.

– To żaden problem – odpowiedziałam.

Jeszcze tego samego dnia zaniósłam mu kilka kartek papieru. Zbliżały się jego urodziny, więc z tej okazji podarowałam mu zeszyt i pióro.

Pisał. Pisał, bo bardzo tego potrzebował. W ten sposób rozładowywał swoje emocje, okazywał uczucia, rozkwitał, choć na papierze płakała jego dusza.

Początkowo wszystkie teksty były mroczne, o lękach, o bezsensie życia, o samotności i tęsknotach. Poezja była lekiem dla jego duszy i zmieniała się powoli, jak powoli zmieniał się Marek.

*Rozwijam swe skrzydła*

*Trochę powoli*

*Bo przykurcz usidla*

*Bo jeszcze boli*

*I zbieram swe siły*

*Walczę powoli*

*By więzy puściły  
By uciec niewoli  
W chmurach utonąć  
Stać się jak wiatr  
By zgubić świadomość  
Że jestem sam*

Lubiłam czytać jego teksty, choć nie gustuję w rymowanych wierszach.

Wiele czasu spędzaliśmy na rozmowach o poezji i muzyce. Zaproponowałam, aby przeczytał wiersze Norwida. Spojrzał na przyniesiony przeze mnie gruby tom jego wierszy i z uśmiechem wyciągnął po niego rękę. Czytał Norwida i bardzo często słuchał, jak Czesław Niemen śpiewa *Bema pamięci rapsod żałobny*. Potem byli Marek Grechuta, Ewa Demarczyk i wiele innych utworów łączących poezję z muzyką. To był jego świat.

Miał wiele marzeń, wiele pragnień, a jedno z nich na tę chwilę największe:

*Obecnie chcę jak najszybciej stanąć na nogi i móc chodzić wyprostowany, bo wydaje mi się, że wszyscy patrzą na mnie jak na kalekę, krzywajdę i nikt nie zauważa, jaki jestem w środku. Mam wiele kompleksów i zahamowań. Jest taka dziewczyna, która bardzo mi się podoba, ale boję się jej to okazać. Boję się, że mnie wyśmieje, bo jestem zajechany jak koń szmaciarza i do tego jeszcze trafiony!*

Marek od kilku lat jest zakażony HIV. Wie, kiedy to się stało. Był na skrócie, pożyczył czyjś sprzęt i nie zadbał o to, aby był czysty. Wiedział, że może się zakazić, ale w tamtej chwili nie myślał o tym. Dobrze pamięta jednak ten dzień,

kiedy dowiedział się, że jest zakażony. Zawalił się cały jego świat, nie chciał dalej żyć.

– Był 1996 r. Podczas pobytu na detoksie pewnego dnia siedziałem w stołówce. Była to pora śniadania, jedliśmy zupę mleczną. Weszła pani psycholog i widząc mnie, powiedziała: *Cześć, Darek! Przyszły twoje wyniki! Wiesz, że masz HIV-a?*

Łyżka wypadła mi z ręki – to była pani psycholog! W moim mniemaniu psycholog powinien najpierw porozmawiać ze mną, przygotować mnie...

A tymczasem ona do mnie: *wiesz, że masz HIV-a?* Szlag mnie trafił. Poszedłem do sali i włączyłem muzykę. Byłem wściekły. Zacząłem walić pięścią w ścianę, potem obiema, coraz mocniej i mocniej. Zdarłem pięści. Popłynęła krew, więc złapałem za kwiatki. Jedna doniczka, druga doniczka... Przy którejś z kolei ktoś złapał mnie za rękę. Byłem w szoku, więc nie wiedziałem, co robię. Z natury jestem spokojny, wtedy jednak odwróciłem się i uderzyłem w twarz. To była pani psycholog. Zrobił się rozgardiasz i nim się zorientowałem, stałem za bramką, wyrzucono mnie.

Dopiero teraz mnie puściło. Łzy kapały mi jak woda z kranu, wielkie jak groch. Nawet jeszcze w pociągu, jadąc do Katowic, nie mogłem się opanować. Wciąż płakałem, łkałem, nie potrafiłem nic powiedzieć, nawet konduktor zostawił mnie w spokoju. Byłem rozwalony, załamany i Bóg wie jeszcze co. Wiedziałem, że biorąc narkotyki, narażałem się na zakażenie, ale jakoś to do mnie nie docierało. To tak jak palacz tytoniu – wie, że palenie grozi rakiem, ale nie dopuszcza tego do siebie i uważa, że jego to nie dotyczy. Jakoś nigdy nie myślałem o sobie i o zakażeniu. Łudziłem się, że

może mi się udać, zresztą kiedy jest się na głodzie, to wszystko jest obojętne, nie liczy się, czy sprzęt jest nowy, czy od kogoś, byle szybciej, byle nie być na skřęcie.

– Czy szukałeś gdzieś pomocy? – zapytałam.

– Nie wiedziałem, co robić. Nie potrafiłem nawet myśleć. Jak pijany wyszedłem na dworzec i sam nie wiem jak znalazłem się w znanej mi wspólnocie Dobrego Pasterza, gdzie miałem kilku znajomych. To byli bardzo fajni ludzie. Byli życzliwi i nie mówili bez przerwy o Bogu ani o tym, jacy to oni są szczęśliwi, bo Pan ich prowadzi. Dlatego ich lubiłem. Owszem, modlili się, nie przeklinali, nie palili, ale w tym wszystkim byli zwykłymi ludźmi i mieli tego świadomość. Poszedłem tam w nadziei, że oni mi w jakiś sposób pomogą. Nie wiedziałem jak, ale jeśli ktoś ma mi pomóc, to właśnie oni. Kiedy mnie wpuszczono, zobaczyłem Sławka. Przywitałem się i rozplakałem. Powiedziałem tylko: *jestem trafiony*. Wszyscy zaczęli mnie pocieszać, że to nie koniec świata, że z tym da się żyć. Nie potrafiłem powstrzymać łez i łkania. Wtedy zdarzyło się coś dziwnego, zaprowadzili mnie do innego pomieszczenia, gdzie była kapliczka, zwykły pokój z ołtarzykiem i figurkami Jezusa i Maryi. Ktoś powiedział, abym powierzył swe troski Maryi. Zacząłem się modlić. W tym momencie zaczął mnie ogarniać spokój. Wielki, bezgraniczny spokój. Przestałem płakać, nawet się lekko uśmiechnąłem. Ktoś by powiedział, że był to taki mały cud.

– Czy przez te kilka lat nauczyłeś się już z tym faktem żyć?

– Chyba tak, wiele wiem na temat HV – odpowiedział spokojnie.

– Może pojechałbyś na spotkanie osób seropozytywnych organizowane przez stowarzyszenie SIEĆ PLUS. – Zapropnowałam, zachęcając, by się zgodził.

Zastanawiał się przez kilka dni. Musiałam mu wyjaśnić, co to za spotkanie, co to za stowarzyszenie i co tam będzie się działo.

Chciałam, by pojechał. Był już u nas półtora roku, bardzo się zmienił, ale był jeden problem. Marek dopiero od kilkunastu dni uczył się chodzić o kulach.

Przez długi czas jeździł na wózku, potem chodził za pomocą balkoniku, a teraz przyszedł czas na kule. Bałam się, że sobie nie poradzi w podróży pociągiem.

Było jednak jeszcze trochę czasu. Pani Terenia obiecała przygotować go do podróży. To była ciężka rehabilitacja! Patrzyliśmy na niego z podziwem, przechodził samego siebie. To były godziny ćwiczeń w siłowni i uporczywe chodzenie po schodach. Udało się. Lekarze wyrazili zgodę na wyjazd. Osobiście odwiozłam go na dworzec i znalazłam mu towarzysza podróży, który także jechał na spotkanie.

Martwiłam się o niego. To jego pierwszy kilkudniowy pobyt poza hospicjum, a do tego jeszcze podróż z przesiadkami, plecak, gitara i dwie kule, bez których nie mógł się poruszać. Wierzyłam, że mu się uda.

Wrócił zadowolony, zachwycony i odmieniony. Musiałam długo słuchać jego wrażeń ze spotkania. Był z siebie dumny, ja też byłam z niego dumna.

– Jadąc na to spotkanie, spodziewałem się pozytywnych wrażeń i fajnych momentów. Rzeczywistość spotkania przeszła jednak moje oczekiwania. Spotkałem tam wielu

swoich znajomych, wielu nowych rzeczy dowiedziałem się na temat HIV. Obecność tylu sympatycznych, życzliwych ludzi dała mi takiego powera, jakiego nie miałem od ładnych kilku, jeśli nie kilkunastu lat – tymi słowami zakończył swoje relacje o przeżyciach ostatnich dni.

To był kolejny ważny moment w jego życiu. Zaczął poważnie myśleć o swojej przeszłości. Znów miał wiele marzeń i planów. Poczuł, że żyje. Za zgodą lekarzy uczestniczył w miesięcznych spotkaniach, tzw. Salonach Akceptacji organizowanych przez stowarzyszenia osób seropozytywnych. Otworzył się na siebie, na świat, na ludzi. Walczył o swoją przyszłość i wciąż pisał, ale jego teksty nie były już mroczne, lecz niosły w sobie siłę i nadzieję.

*Chwieję się, upadam  
Znów powoli wstaję  
Z marzeń siły składam  
Lecz się nie poddaję  
Cel jest coraz bliżej  
Zieleń w sercu płonie  
Głowę wznoszę wyżej  
W pięści składam dłonie  
Wiara mnie napędza  
Zieleń daje siłę  
Coraz wyżej sięgam  
Serce mocniej bije  
Jeszcze nie czas kończyć  
Choć zżera choroba!  
Nie dam się pokonać!  
W górę moja głowa!*

Bardzo często rozmawiamy o jego relacjach z najbliższą rodziną. Chciał się dzielić tym wszystkim, co działo się w ostatnim czasie dobrego w jego kontaktach z najbliższymi. Pisał listy do swoich sióstr. Cieszyły się, przysyłały mu swoje zdjęcia, pisały o sobie, przysyłały płyty, coraz częściej dzwoniły.

– A co z mamą? Może napiszesz do niej list? – zapytałam, wiedząc, że bardzo pragnie, aby jego relacje z mamą poprawiły się. Bardzo chciał, aby mu zaufała, aby uwierzyła, że tym razem mu się uda.

– Z mamą miałem zawsze trudne relacje. Nie rozumiała mnie. Nie akceptowała mojej miłości do muzyki. Nie tolerowała moich upodobań, poglądów, mojego stylu ubierania się, mojej inności. Pamiętam wiele przykrych sytuacji. Miałem kiedyś irokeza. Był długi, zaczesany na prawy bok tak, że zakrywał ucho. Nie był nawet ufarbowany. Któregoś dnia mama zawołała mnie, że podcina włosy siostram, a ja pewnie też mam porozdwajane końcówki, więc mi je podetnie. Zaufałem jej, ale kiedy spojrzałem w lustro, zobaczyłem, że obcięła mi wszystkie włosy na równo. Robiła mi awantury o moje włosy, mówiła, że wyglądam jak idiota. Kiedyś wróciłem do domu z małym, znalezionym na śmietniku szczeniakiem. Moje siostry bardzo się ucieszyły małym pieskiem. Ojciec też się uśmiechnął. Mama była jednak niezadowolona. Prosiłem, by Moka, bo tak ją nazwałem, mogła zostać. Zgodziła się. Dbałem o nią. Była śliczna. Karmiłem ją, wyprowadzałem na spacer, bawiłem się z nią, ale po dwóch tygodniach mama kazała Mokę oddać. Zrobiłem to, ale było mi bardzo ciężko. Bardzo to przeżyłem. Ciężko mi było znosić upokorzenia ze strony mamy, więc wolałem zwać z chaty. Kiedy wracałem do domu, mama zamykała przede mną drzwi...

Ale kiedy ostatni raz leżałem nieprzytomny w szpitalu, przyjechała do mnie. Była przy mnie. Poprosiła księdza, aby udzielił mi sakramentu chorych. Ja tego nie pamiętam, ale z opowieści pielęgniarek i mojej mamy wiem, że podobno od tego momentu namaszczenia świętymi olejami zaczęło mi się polepszać.

– Czy twoja rodzina wie, że jesteś seropozytywny?

– Tak, chociaż powiedziałem to tak przypadkiem. Kiedyś przyjechałem do domu, miałem znów dość i chciałem załatwić detoks i ośrodek, czekając w domu. Jednak matka, kiedy wróciła do domu, powiedziała mi, że nie chce mnie w domu widzieć. To był impuls, zdenerwowałem się trochę, więc na odchodnym rzuciłem:

– Robiłem testy na HIV.

– No i co z tego? – spytała matka

– Jestem trafiony – warknąłem i wyszedłem.

Widziałem, że matkę zamurowało. W pierwszej chwili nawet się cieszyłem, bo taki miał być skutek tych słów. Były przy tym moje siostry. Wtedy niezbyt dużo się mówiło o HIV/AIDS. Nie było w szkołach specjalnych wykładów na temat HIV. Większość wiedzy posiadali lekarze, i to głównie specjaliści. Nie było też wielu książek na ten temat, unikało się robienia o tym programów w mediach. Moja wiedza na ten temat była niewielka. Mówiło się wtedy, że jest to choroba narkomanów.

Chyba jednak dobrze, że to powiedziałem, bo nie muszę się bać, że mama przypadkiem się dowie o mojej chorobie. Miała już trochę czasu, aby się z tym oswoić. Myślę, że najbliższej rodzinie powinno się o tym mówić, między innymi ze względu na komfort psychiczny, nie trzeba się ukrywać, kombinować. Ojciec o tym nie wiedział. Już nie żyje. Przez

długi czas obwinałem się, sądziłem, że ojciec zmarł z mojej winy. Wiedziałem, że mnie kocha i cierpi z mojego powodu. Nie było mnie nawet na jego pogrzebie. Do tej pory nie byłem jeszcze na jego grobie... Pamiętam, jak ojciec kupił mi gitarę elektryczną. Sam ją wybierałem. To była radość! To był mój prezent urodzinowy. Ojciec wydał na nią sporo pieniędzy.

Pobyt Marka w naszym hospicjum powoli dobiega końca. Stan jego zdrowia znacznie się poprawił. Ma dobre wyniki, bierze leki antyretrowirusowe i dba o siebie. Rehabilitacja trwa, ale wciąż musi chodzić o kulach. Chyba nie ma szans na rozstanie się z nimi. Marek pisze artykuły o swoim życiu z HIV do specjalistycznych biuletynów i oczywiście wiersze.

Przyzwyczaiałam się do jego obecności w hospicjum, polubiłam go, ale wiedziałam, że muszę zadać mu pytanie:

– Co dalej z twoim życiem? Czy już podjąłeś decyzję?

– Wiem, że życie zaczyna mi się podobać, mimo że mam HIV. To mnie akurat nie martwi. Nie czuję się z tego powodu napiętnowany czy gorszy od innych. Oczywiście będę musiał dbać o swoje zdrowie, brać leki, ale przede wszystkim nie mogę wrócić do narkotyków. Dlatego postanowiłem pójść na terapię do ośrodka. Tym razem musi mi się udać. Wierzę w to jak nigdy dotąd.

Cieszyliśmy się z tej decyzji. Marek podjął terapię w naszym ośrodku, więc widywaliśmy się codziennie. Wciąż wiele rozmawialiśmy. Radził sobie, choć poruszanie się o kulach nie ułatwiałało mu codziennych zajęć i pracy.

Wciąż pisał, miał swój upragniony wieczór autorski. Nadal uczestniczył w Salonach Akceptacji i corocznych kongre-

sach osób seropozytywnych. Na jednym z nich spotkał się z panią prezydentową Jolantą Kwaśniewską. Było to już jego drugie spotkanie z prezydentową. Wcześniej spotkał się z nią w naszym hospicjum w związku z wizytą żony prezydenta Niemiec. Towarzyszyła jej pani Jolanta Kwaśniewska. Prezydentowe sporo czasu spędziły w naszym hospicjum. Była długa rozmowa z pacjentami i pamiątkowe zdjęcia. Marek był zachwycony. Nigdy nie przypuszczał, że może o swoim życiu porozmawiać z panią prezydentową. Spotkali się jeszcze kilka razy na kongresie, na konferencjach... Był szczęśliwy, że mógł zjeść obiad w towarzystwie pani prezydentowej.

Pani prezydentowa interesowała się jego losem i pytała mnie przy różnych okazjach, co się z nim dzieje.

Historia Marka to historia młodego człowieka o duszy artysty, który przeszedł długą drogę. Uzależniony od narkotyków, zakażony HIV, niepełnosprawny, bliski śmierci i bez wiary w lepsze życie, umiał się podnieść. Dał sobie szansę, odnalazł w sobie wrażliwość na piękno, na miłość, na sztukę. Uwierzył, że jest w nim siła, że jest potencjał, który trzeba wykorzystać. Jego droga tu, w hospicjum, była trudna, ale muzyka, poezja i silna wola pozwoliły mu znów mieć marzenia i te marzenia realizować.

Spotkał kobietę swojego życia. Zakochał się, są razem. Podjął pracę. Wciąż porusza się o kulach. Jest szczęśliwy. Ma swoje strony internetowe. Na jednej z nich opowiada o muzyce. Druga strona to poezja, rodzina, miłość.

*Codziennosc*

*Tak niecodzienna bo z tobą*

*Dla ciebie i dla nas*

*Codziennosc*  
*Taka niezwykla*  
*Bo po cos i dla kogos*  
*Codziennosc*  
*Tak piekna*  
*Bo tak prawdziwa*

## X

# TOMEK

---

### *Jestem sam*

Jest mroźny październikowy poranek. Parking przed Domem Pielgrzyma na Jasnej Górze powoli zaczyna tętnić życiem. Coraz więcej autokarów, samochodów, pielgrzymów. Na jednym z miejsc parkingowych stoi nasz samochód. Zimne powietrze nie zachęca do wysiadania. Postanawiamy zjeść zabrane ze sobą kanapki i wypić kawę z termosu. Wyjechaliśmy bardzo wcześnie, aby dotrzeć na czas. Razem z siostrą Anią, szefową pielęgniarek, przyjechaliśmy z naszymi pacjentami z hospicjum na Jasną Górę. Od kilku lat osoby zakażone HIV raz w roku pielgrzymują do Matki Bożej Jasnogórskiej. W tym roku postanowiliśmy uczestniczyć w tej pielgrzymce.

Na placu przed Domem Pielgrzyma coraz więcej znajomych twarzy. Powitania, uśmiechy, serdeczne rozmowy i oczekiwanie na naszego specjalnego pielgrzyma – panią prezydentową Jolanę Kwaśniewską. Pielgrzymuje razem z nami i od lat wspiera osoby seropozytywne. Są z nami także ks. Arkadiusz Nowak i pracownicy Krajowego Centrum ds. AIDS. Wkrótce pojawia się gospodarz tego spotkania – ks. bp Antoni Długosz, który będzie przewodniczył

mszy świętej odprawianej w naszej intencji przed obrazem Jasnogórskiej Pani.

Msza święta w kaplicy Matki Bożej jest dla naszych pacjentów ogromnym przeżyciem, niektórzy z nich są tutaj pierwszy raz w życiu...

Potem wspólne rozmowy, wspólne zdjęcia, obiad i trzeba wracać. Wszyscy są radośni, szczęśliwi... i umocnieni.

W grupie naszych pacjentów jest Tomek. To jego pierwsza wizyta u Matki Bożej. Bardzo chciał tu przyjechać i stanąć przed cudownym obrazem Jasnogórskiej Matki. Jest bardzo wzruszony, z trudem powstrzymuje swoje emocje, uczucia, łzy.

Tomek jest trzydziestoletnim mężczyzną o smutnych, czarnych oczach. Kiedy pojawił się w naszym hospicjum, był bardzo wyniszczony, ważył 43 kg, był bardzo blady i osłabiony. Nie wymagał specjalnej opieki, był samodzielny. Gdy szedł korytarzem, pociągając nogami, taki szczupły, wiotki, zdawało się, że za chwilę się rozplynie, rozkruszy, zniknie.

Był nieśmiały, ale otwarty na innych. W zachowaniu był bardzo subtelny, delikatny, miły, nie chciał nikomu sprawić przykrości. Chętnie wszystkim pomagał. Polubiliśmy go i jemu też było z nami dobrze.

Tomek chce zmienić swoje dotychczasowe życie. Bardzo chętnie uczestniczy w naszych zajęciach terapeutycznych, ale ma potrzebę indywidualnych rozmów.

Nikt go tutaj nie odwiedza, nikt nie dzwoni, nikt nie pisze do niego listów. Nikt nie interesuje się jego losem.

– Tomek, co z twoją rodziną? – Zapytałam, patrząc w jego smutne oczy.

– Właściwie to jestem sam. Nie mam rodziny. Moja mama zmarła, kiedy miałem 13 lat. Trzy lata później zmarł mój ojciec. Opiekowała się mną siostra. Była starsza ode mnie o 7 lat. Bardzo ją kochałem, zawsze mogłem na nią liczyć. Niestety, zmarła młodo, mając 29 lat, na zawał serca, zostawiając dwoje małych dzieci. To był dla mnie szok. Wtedy poczułem, że nie mam już nikogo bliskiego. Chciałbym się dowiedzieć, co dzieje się z moimi siostrzeńcami. Bardzo lubiłem te dzieciaki.

– Zadzwoń do szwagra i zapytaj, co u nich słychać.

– Nie. Ze szwagrem nigdy nie miałem dobrych relacji. Mógłbym jednak zadzwonić do jego siostry Oli, bo to ona po śmierci mojej siostry zaopiekowała się dziećmi.

Nie miał odwagi zadzwonić, ale napisał list do Oli. Bardzo się denerwował, czekając na odpowiedź. Kiedy Ola przysłała list, Tomek bardzo, bardzo się ucieszył. W jego smutnych oczach pojawiła się radość.

– U nich wszystko w porządku. Chłopaki rosną, dobrze się uczą. Ola obiecała, że do mnie zadzwonią.

– Czy jest jakieś miejsce, gdzie mógłbyś kiedyś wrócić?

– Nie mam domu, nie mam do kogo wracać. Nikt na mnie nie czeka. Przez ostatnie lata żyłem na ulicy, mieszkałem w noclegowni. Miałem mieszkanie po rodzicach i po śmierci mamy otrzymywałem rentę, ale wszystko straciłem przez alkohol i narkotyki. Po śmierci mamy było mi trudno, ale jakoś się trzymałem, ale potem zaczęło się wążchanie kleju, picie alkoholu. Po śmierci ojca już wszystko szło nie tak, jak być powinno. Mieszkałem sam, miałem pieniądze, więc było towarzystwo, alkohol, kompot, amfetamina, produkcja, HIV...

Po śmierci siostry było mi bardzo, bardzo trudno. Myślałem czasem o złotym strzale, ale nigdy nie targnąłem się na własne życie. Narkotyki dodawały mi pewności siebie, zabijały moją samotność...

– Kiedy dowiedziałeś się o zakażeniu HIV?

– To było siedem lat temu. Byłem wtedy w więzieniu. Zrobiono test na HIV, potem powtórzono badania. Domyślałem się, że jestem zakażony. Nie wiem, jak to się stało. Czy przez towar, sprzęt, czy kontakty seksualne?

O tym, że jestem zakażony, dowiedziałem się w więzieniu od lekarza, który udzielił mi kilku podstawowych informacji na temat HIV. Właściwie wtedy się tym faktem nie przejąłem. Miałem inne problemy. Wychodziłem na wolność i nie miałem gdzie wracać, nie miałem pieniędzy, ubrania i rodziny, która mogłaby mi pomóc. Mieszkałem w klatkach, na ulicy, u znajomych. W głowie miałem narkotyki. Informacja o zakażeniu nie pomogła mi w rzuceniu narkotyków. Raczej myślałem, żeby brać, brać do końca. Tak toczyło się moje życie: narkotyki, ulica, detoksy... i wreszcie pobyt w ośrodku. Ukończyłem leczenie, pracowałem, ale nie miałem dokąd wracać. Znowy wyładowałem na ulicy. Potem kolejny detoks, noclegownia, metadon, amfetamina i coraz gorzej się czułem. Zmęczony swoim dotychczasowym życiem i wyniszczony chorobą, znalazłem jeszcze w sobie siły, by pójść na kolejny detoks. Potem był już Anielin.

Mijają kolejne miesiące pobytu Tomka w naszym hospicjum. Jego stan zdrowia jest o wiele lepszy. Przybrał na wadze, zgubił gdzieś swoją bladość, coraz częściej się uśmiecha. Przyjmowane leki antyretrowirusowe spowodowały, że

znacznie zwiększyła się jego odporność. Jest silniejszy, coraz więcej w nim energii i chęci do życia. Tomek zajmuje się naszym akwariem. Lubi karmić rybki i obserwować ich wodny świat. To go wycisza i sprawia, że czuje się potrzebny.

Często rozmawiamy o jego uczuciach, o przeszłości, o pustce, jaka w nim została po utracie najbliższych osób, i o lękach, związanych z tym, co dalej.

Tomek powoli oswaja się z myślą, że trzeba opuścić hospicjum i podjąć jakąś decyzję dotyczącą dalszego życia. Jest mu trudno, bo znów nie ma dokąd wracać, nikt na niego nie czeka, nie ma miejsca, które mógłby nazwać swoim domem.

– Jest mi tu bardzo dobrze. Przez cały czas mojego tutaj pobytu doznaję wiele ciepła, życzliwości i psychicznego wsparcia. Moja samotność mniej mi dokuczała, bo czułem, że komuś na mnie zależało, że tak wiele ludzi chce mi pomóc. Często w życiu byłem poniżany, także z powodu HIV. Policjanci, kiedy mówiłem, że jestem zakażony, traktowali mnie jak człowieka drugiej kategorii. Kiedy musiałem być operowany w związku z chorobą nerki, to nie chciano mnie operować, bo jestem zakażony. Kiedy już doszło do operacji i leżałem na chirurgii, izolowano mnie od innych pacjentów. Miałem zakaz wychodzenia z sali. Słyszałem, jak personel dyskutował na mój temat. Usłyszałem nawet takie słowa: *Uważaj, bo tu leży skunks, który ma AIDS*. Początkowo śmieszyły mnie takie sytuacje, ale potem mnie bolało. Wzbierała we mnie złość, że jestem tak traktowany. Przecież jestem człowiekiem i mam jakieś uczucia.

Pogodziłem się, z tym, że jestem zakażony, i dziękuję Bogu, że teraz jest dobrze.

Mogę dalej z tym żyć, ale gorzej z narkotykami. Postanowiłem pójść na leczenie do ośrodka. Czy siostra mi pomoże?

Ucieszyłam się, słysząc te słowa. Pewnie, że pomogę!

Załatwiłam miejsce w ośrodku. Pozostał nam jeszcze miesiąc na załatwienie wszystkich spraw związanych z wyjazdem i przygotowanie się do podjęcia terapii.

Tomek znów był zamyślony i smutny, bo ciężko mu było się z nami rozstać. Nam też trudno było się z nim pożegnać. Był sympatycznym, spokojnym, młodym człowiekiem, zawsze gotowym pomagać innym. Cieszył się każdym najmniejszym gestem życzliwości, który ktoś mu okazał. Zawsze przeproszał, jeśli czuł, że komus mógł sprawić przykrość.

W dniu wyjazdu były podziękowania, ciepłe słowa i łzy.

Pojechałam z Tomkiem na dworzec. Czekałam, aż pociąg odjedzie. W oknie pociągu widziałam jego czarne, smutne, pełne lęku oczy. Obiecałam, że zadzwonię do niego. Ucieszył się, bo przecież wciąż nie miał domu i kogoś, kto by na niego czekał, bliskiej osoby, której by na nim zależało. Samotność...

*Do przyjaciela*

*Gdy chcesz moje serce pocieszyć  
nic nie mów  
siądź przy mnie blisko  
dotknij mojej dłoni  
mój uścisk powie ci wszystko  
obdarz mnie swoimi łzami  
gdy moje oczy bolą od łez  
podaruj mi uśmiech  
gdy ból ściska moje usta  
i swoim spojrzeniem  
rozjaśnij moje oczy  
poszarzałe od wypatrywania końca  
po prostu bądź ze mną*

# Spis treści

- Wstęp 5
- I. Sergiusz: *Wszystko mogło być inaczej* 7
- II. Zdzisław: *Dostałem kolejną szansę* 15
- III. Konrad: *Czy Bóg kocha mnie na pewno?* 23
- IV. Martyna: *Muszę wyzdrowieć!* 37
- V. Krzysztof: (...) 45
- VI. Janek: *Normalne życie to frajerstwo* 59
- VII. Olek: *Kocham ją, ale...* 67
- VIII. Robert: *Kim teraz jestem?* 75
- IX. Marek: *Bez miłości życie nie ma sensu* 83
- X. Tomek: *Jestem sam* 97